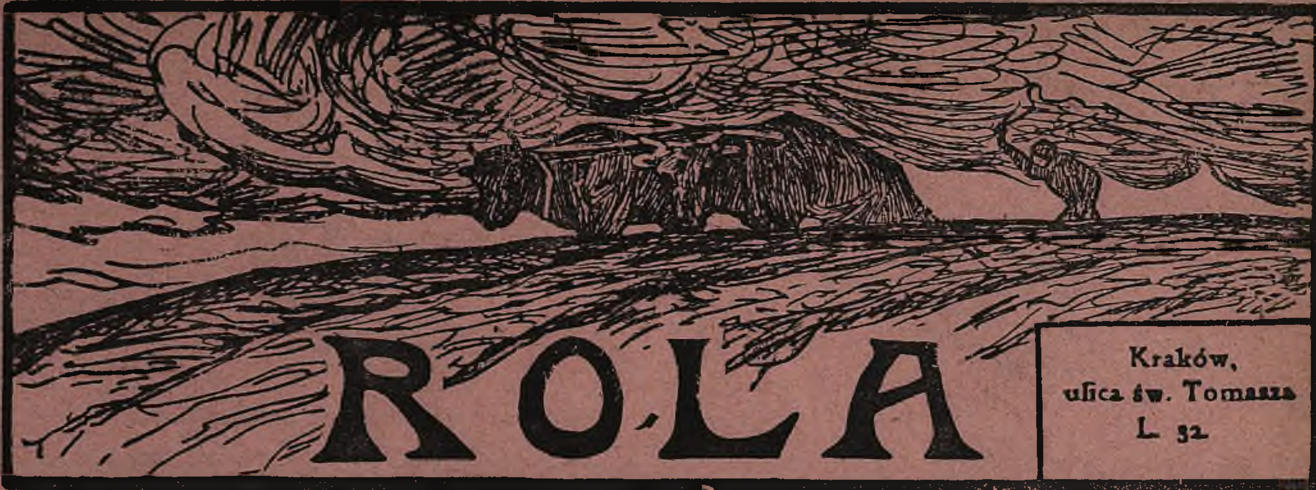
Numer 22. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 1 Czerwca 1930



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.





Dla kogo miód?

Zapytano pewnego razu Demona, filozofa rzymskiego za czasów Marka Aureljusza, czy wypada mędrcowi jadać słodycze, jak ciastka i konfitury które w owej epoce przyrządzano z miodem.

— Czemuż nie? — odrzekł filozof — czy sądzicie, że pszczoły robią miód tylko dla głupców?...



I koniec.

— Czemu nie idziesz do lekarza?

— Albo ja głupi, czy ja ich nie znam!

— Naprzód powie: wysuń pan język, potem powie: wysuń pan dwadzieścia złotych i koniec.



Szczyt skąpstwa.

Szkoci słyną z nadmiernego skąpstwa, przynajmniej tak o nich twierdzą Anglicy. Pewien Szkot zażądał w aptece trucizny za dwa pensy.

— Żałuję — odpowiada aptekarz — ale sprzedajemy najmniej za 6 pensów.

— Tak?... to już wolę żyć.

O czem myśli.

Ksiądz do panny młodej na nauce przedślubnej:
— Ile jest Bogów?
— Jeden.
— A ile osób?
— Tak z muzykantami, to będzie ze 30.



Nie całkiem zadowolony.

Sędzia: Bartłomieju, za pobicie sąsiada skazany zostałeś na ośm dni kozy. Czy się kontentujesz tym wyrokiem?

Bartłomiej: Z wyroku, proszę prześwietnego sądu, tom kuntent, jeno z kozy to przez urazy pana sędziego, to nie.



Różnica.

— Uczeń Gapski niech mi powie, — jaka jest różnica pomiędzy piorunem a elektrycznością?

— Za piorun się nie płaci, panie psorze.



— Co trzeba robić, aby mieć piękne ręce?
— Nic!

Numer 22. Rok XIII. Kraków, dnia 1 czerwca 1930.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500.868.

Wniebowstąpienie.

Po Zmartwychwstaniu ukazywał się często Pan Jezus uczniom swoim, utwierdzając ich w wierze i miłości. Pewnego razu przyszedł na miejsce, gdzie przystanął w pośrodku, aby odpocząć nieco. Słońce grzało coraz silniej, a wokół sterczały gołe skały i rozlegały się suche piaski. Aniołowie otoczyli Pana skrzydłami, aby Go zasłonić skrzydłami przed żarem słonecznym, a jeden z nich odważniejszy zapytał:

— Czy za tę krainę krwi swej nie przelałeś?

A Pan wzniósł ręce ku niebu, błyskawica zaś jasna przebiegła niebo, spadł deszcz ulewny i w jednej chwili pustynia zazieleniała tysiącem roślin i kwiecia. Zaś wśród tych kwiatów szedł Pan dalej, a gdzie noga Jego stąpiła, tam wytryskało życiodajne źródło i przemieniało martwą pustynię w urodzajną krainę. Szmaragdowa trawa z wdzięczności za otrzymane życie skłaniała się do stóp Pana i tworzyła dla Stwórcy swego miękki kobierzec.

— Będziesz — rzekł Pan do trawy — swoją zielenią oznajmiała wiosnę i urodzaje. Z radością witać cię będą i mnie dlatego wychwalać będą! Za pojawieniem się twojem świat cały nową szatę przybierze, w stworzenie życie nowe wstąpi.

— O Panie! — szeptała wdzięczna trawa z radością.

I szedł Pan dalej, a w drodze swej napotkał wonną lilję, która swą jasną koronę chyliła do stóp Jego.

— Panie! — szepnęła onieśmielona lilja.

— Cóż chcesz? — zapytał Pan łaskawie.

— Panie, pozwól mi nazawsze przy Tobie pozostać.

— Ty będziesz — rzekł Jezus — symbolem niewinności. Dziewice pieścić cię będą. Ze mną więc i przy mnie będziesz.

A kiedy Pan poszedł dalej, napotkał różę, która przypadła do nóg Jego, skrapiając je wonnym swym olejkiem.

— Panie! — powiedziała róża — pozwól mi wiecznie skrapiać Twe święte stopy.

— Ty — rzekł Jezus — będziesz kwiatów królową, będziesz skrapiała wonią swą stopy mej Matki.

Przyleciało ptactwo, by cześć złożyć Panu i trzepocąc skrzydełkami, wznosiło się nad las, by wraz z nim wielbić Boga. Tylko para gołębi przypadła do stóp Jego, by je ucałować.

— Panie! — zagruchały gołąbki i podniosły swe główki ku Jezusowi, a On rzekł:

— Będziecie wzorem cierpliwości i czystości!

I tak po kolei oddawały cześć Bogu rośliny i kwiaty, zwierzęta i ptaki, a jedynie człowiek ociągał się z hołdem dla Przedwiecznego. A wówczas Jezus zwrócił się do napotkanych w drodze Apostołów i rzekł im:

— Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody. Mówcie im, że Syn Boży cierpiał na krzyżu dla ludzkiego zbawienia. Niech zrozumią, że szczęścia nie szukać im na ziemi, ale tam, gdzie króluje Bóg Ojciec w otoczeniu tysięcy aniołów.

I podniósłszy ręce, błogosławił im, a oni padli na twarze. Umilkło ptactwo, powstrzymały bieg swój wody, ustał ruch wszelki na ziemi i w powietrzu. A wśród tej ciszy Jezus w obliczu Apostołów wstąpił do nieba, aby tam przy boku Ojca swojego królować całemu światu po wieczne czasy.

A kiedy Apostołowie wytężali wzrok, aby jeszcze raz z poza obłoków ujrzeć Jezusa, zjawili się dwaj Aniołowie, którzy rzekli im:

— Jako dziś widzieliście Go wstępującego do nieba, tak zobaczycie Go znów, gdy zejdzie z nieba na ziemię, aby sądzić ostatni raz tak złych, jak i dobrych.

MAURYCY JOKAY.

W tajemniczej ziemi złota

Powieść tłómaczona z węgierskiego przez K. Górskiego.

— Znów nas osłania ręka Boża — rzekła Ismena, wskazując na ten cudowny obraz, który mieli przed sobą. Cały kraj pokryły gęste mgły, te zakryją nas przed wzrokiem wrogów i umożliwią nam bez przeszkody opuścić tę okolicę. Nie musimy się teraz nikogo obawiać. Straże czerkieskie nas nie zauważą, pasterzy nie spotkamy, bo nie wypędzają bydła w góry, gdy mgły pokryją kraj. Musimy zaczekać, aż się mgły wyżej podniosą.

Mówiąc to, usiadła na powalonym słupie i zaczęła włosy, które dotąd miała upięte dziką winorośią, splatać i układać w dwa warkocze. Brakowało jej tylko wstążki, aby mogła ukończyć swoją toaletę. Ale i teraz nie miała wiele kłopotu.

Rjumin zaraz zauważył, o co chodzi jego towarzyszce, zszedł więc w miejsce, gdzie leżał chory i od gitary odwiązał czerwoną jedwabną wstęgę. Wstęgę przepołowił i podał ją Ismenie, zaś do gitary przywiązał zamiast wstęgi rzemyk.

Dziewczę z wdzięcznością przyjęło skromny podarunek i wkrótce szybko ukończyła swoją toaletę. A można powiedzieć, że wyglądała po książęcemu.

Jej wierzchnia suknia była z materji kaszmirskiej, przetykana złotem, płaszcz jej, to skóra pantery, którą sama położyła.

Płaszcz zapinała gwiazdą rosyjskiego orderu, jarzącą się od diamentów. Żadna księżna nie mogła pochlubić się takim strojem.

Nagle, skoro z dolin mgły podniosły się wyżej, na szarem tle dalekiej góry Skuchy pojawiły się dwa olbrzymie ludzkie cienie.

Jeden, to cień mężczyzny, opierającego się o strzelbę, drugi był cieniem dziewczyny, która porządkowała włosy. Obraz ten wywoływał zdziwienie przez swoje olbrzymie, prawie że bezgraniczne rozmiary.

— Patrz, to jest kaukaska fata morgana — zawołało dziewczę, wskazując na olbrzymie zjawisko, przyczem również i cień dziewczęcia w dalekich mgłach podniósł rękę.

Zdawało się, że cień ten wskazuje gdzieś w bezgraniczność wszechświata. Rjumin w milczeniu podziwiał to wszystko. Wiedział, co on znaczy. Znał dobrze zasady o załamywaniu się promieni światła, mimo tego nie mógł otrząsnąć się z pytania, które mu się nasuwało:

— Oznacza zjawisko to nasze szczęście, czy naszą śmierć? — Umiesz ty je wytłumaczyć.

Dziewczę się roześmiało.

— Zapewniam cię, że możemy być zupełnie spokojni — odrzekła. — Niebo pokazało nam het daleko nasze postacie, staliśmy razem, a to dowód, że do siebie należymy.

Rjumin zadowolił się takiem wytłumaczeniem, bo też nie mógł go zbijać.

Po kilku sekundach nadleciała potężna chmura mgły, która rozpędziła olbrzymie cienie.

Zrozumieli, że mogą puścić się w dalszą drogę.

Zaraz też poszli.

VII.

„Droga dziewcząt“ prowadzi przez kraj górzysty, przez lasy, wśród wysokich skał, a podróżnikowi wydaje się ona nieskończoną. Ale nie możemy sobie naturalnie pod nazwą „drogi“ przedstawiać drogi w znaczeniu europejskiem. Droga, którą zbudowały przez puszcze i wśród stromych skał pokolenia już dawno wymarłe, dostępna jest tylko dla tych, którzy używają specjalnego daru przyrody — t. j. kaukaskiego konia. Bez niego nicby tu człowiek nie zrobił.

Koń kaukaski sam szuka sobie drogi i zdaleka już wypatruje, jakby najlepiej wyjść z wąskiej doliny, przepełnionej wilgotnem powietrzem. Jeżeli natrafi na przepaść, przerywającą drogę, przybliży się ostrożnie do niej, a potem z najdogodniejszego miejsca rozpędzi się do skoku. Na stromych skałach stąpa ostrożnie i bada przedniemi nogami, czy ziemia nie obsunie się pod ciężarem jego ciała. Jeżeli przyszedł na złą drogę, wraca się i szuka lepszej.

Ale człowiek musi się z nim dobrze obchodzić i mówić do niego łagodnie. Nie znosi on wyzwisk i ordynarnych wyrażeń.

Kiedy mgła zaczęła się rozpraszać, Rjumin i Ismena znajdowali się już na bezpiecznej drodze, nie musieli się już obawiać, że zostaną poznani. Spotykali wprawdzie pojedyńcze grupki podróżujących, ale ci przybywali ze ziemi Kałgarów. Wieźli cenne futra i materje, które wyrabiają kobiety kałgarskie. Ismena poznała tych kupców z ich specjalnych czapek i potrafiła się też z nimi rozmówić w ich języku.

Od spotkanych kupców Ismena się dowiedziała, że teraźniejszy naczelnik Kałgarów, mieszkających po drugiej stronie gór, nazywa się Czengli, że liczy dopiero 25 lat, a jego rezydencja, jest fortecą, którą tubylcy nazywają „Chod“.

Poprzedni naczelnik padł w czasie nocnej wyprawy do ziemi Jeszydów i od tego czasu oba szczepy strasznie się nienawidzą.

Dalej opowiadali kupcy, że Cengli wybiera się właśnie na polowanie na bawoły, a wtedy dużo ich jeszcze żyło w puszczach Kaukazu.

Rjumin chciał jak najprędzej dostać się do ziemi Kałgarów. Kupcy mu też poradzili, aby szedł inną drogą, nie tą, po której chodzą konie, objuczone ciężko, a mianowicie, aby puścił się leśnemi ścieżkami, tu wprawdzie będą musieli spotkać się z wilkami i niedźwiedziami, ale to już przed zachodem słońca mogą stanąć w zamku kałgarskiego naczelnika.

Rjumin był ogromnie wdzięczny usłużnym kupcom za tę radę i postanowił zastosować się do niej. A dobrze zrobił, bo wnet został odpowiednio wynagrodzony.

Puścił się wzdłuż rzeki Jachry, która rodzi się w pobliskich górach, ma szerokie koryto i liczne wodospady. W miejscach płytszych łatwo można ją przejść w bród, a biała piana wodospadów pada na twarz przeprawiającego się przez rzekę.

Chociaż huk wody był potężny, usłyszał jednak Rjumin jakiś nadzwyczajny, jednostajny łomot, a dopiero kiedy doszli do miejsca, gdzie rzeka skręcała się koło skał, poznał przyczynę tegoż. Zauważył bowiem na brzegu starą stępę do rozbijania rudy.

Był to budynek stary, bo właściwie ostał się potężny podstawnik z łopatami i wielkiem kołem, które woda pokryła, białym osadem, bo zawierała w sobie wapień.

Pewnie już setki lat minęło od czasu, kiedy to miejsce porzucono, a jednak woda wciąż obracała kołem, łomotała też we dnie i w nocy i naturalnie napróżno.

Gęste krzaki rozrosły się na wszystkie strony, ale kołu to zupełnie nie przeszkadzało w jego jednostajnej ciągle powtarzającej się czynności. Przed laty

wydobywano tu złoto. Że była w tem miejscu kopalnia, nie znalazłbyś na to najmniejszego dowodu, bo gęste krzaki pokryły ziemię, a tylko ta stępa, służąca ongiś do rozbijania rudy złota, zdradzała dawne jej przeznaczenie.

Rjuminowi drgnęło serce z radości. Znalazł więc pierwsze ślady! A pewnie wkrótce uda mu się znaleźć ich więcej. Ta okoliczność niemało podniosła jego ducha.

Zapamiętał sobie dobrze miejsce, gdzie znajdowała się stara stępa i wezwał Ismenę do dalszej drogi. Idąc ciągle wzdłuż rzeki, dotarli wreszcie na górę, pokrytą gęstym jaworowym lasem i tu również znaleźli dalsze ślady minionego przemysłu. Ujrzeli resztki dawnego wodociągu, — nim prawdopodobnie sprowadzano wodę z rzeki aż w te miejsca, gdzie wydobywano złoto.

Nim porządnie zbadali okolicę, czekała ich nowa niespodzianka: jakby pod wpływem czarodziejskiej laski, stanęła nagle przed nimi obronna twierdza Chod.

Chroniona z trzech stron przez potężne i niedostępne skały, wznosiła się dumnie w górę. Dostać się można było do niej po szerokiej łące podnoszącej się w górę. Na niej pasło się całe stado koni, a strzegło ich kilku uzbrojonych jeźdźców.

Główna twierdza była specjalnie zbudowana. — Nie można było odróżnić jakiegoś nadzwyczajnego stylu. Większe i mniejsze mury łączyły szerokie ściany, zaś potężne wewnętrzne wieże porastał aż po okna gęsty kobierzec mchu.

Po pokonaniu wielkiego niebezpieczeństwa, które groziło im od kilkuset potężnych psów myśliwskich, będących własnością naczelnika i pana twierdzy, doszli wreszcie do opuszczonego mostu zamkowego, gdzie straż godnie ich przyjęła i odpędziła psy, ciągle się na nich rzucające. Jeden ze strażników zajął się końmi i rozkazał drugiemu, aby zaprowadził gości do grodu.

Rjumin nawet się nie spodziewał, że tak łatwo ze swą towarzyszką dostanie się do naczelnika.

Przybyli w sam raz. U naczelnika zgromadziła się spora ilość zacnych wojowników, zaprosił ich bowiem na polowanie, mające się odbyć następnego dnia.

Na cześć przybyłych wojowników wydał ucztę, mile przywitano więc lazystańskiego gitarzystę i jego cudną śpiewaczkę. Sam naczelnik, gdy się dowiedział, jacy goście przybyli do jego grodu, wyszedł na ich przyjęcie i wprowadził ich do sali.

Uczta trwała już dosyć długo, a mimo tego postawiono przed gości masę różnych potraw, nie brakowało też i wina.

Rjumin usiadł bez namysłu do stołu i zaczął jeść.

— Nie jedz i nie pij dużo — szepnęła Ismena — pamiętaj, że przeszedłeś ciężką chorobę i mógłbyś to odpokutować.

Ale Rjuminowi chciało się jeść po całodziennej podróży i silnie zaprawione korzeniem potrawy nadzwyczaj mu smakowały i podniecały pragnienie, które gasił winem, wypróżniając dokumentnie głębokie puhary.

Jego swobodne i naturalne zachowanie się zrobiło dobre wrażenie na gościach, którzy go też uważnie obserwowali.

Niektórzy wojownicy podeszli do niego i przypijali ze słowami: „Allah werdi".

— Jachei joł — odpowiedział Rjumin i wypróżniał puhar aż do dna.

Ismenę to niepokoiło. Ze strachem spoglądała na każdy puhar, przez Rjumina wypity, a skoro zauważyła, jak jej towarzysz, aby udowodnił, że jest rzeczywistym Czerkiesem, zaczyna pić w zawody, wstała i przygotowała się do śpiewu.

Wszyscy goście zaraz na nią zwrócili uwagę. — Mężczyźni przestali śpiewać swoje monotonne „mrowii" — swoją pieśń pijacką i słuchali śpiewu dziewczęcia. Rjumin też musiał wstać i zaczął towarzyszyć Ismenie na gitarze. Musiał porzucić pijatykę i spełnić swój obowiązek jako wędrowny grajek.

Ismena śpiewała jedną z tych pieśni, której nauczyła się od wędrownych śpiewaków w czasie podróżowania z ojcem, wędrujących po Kaukazie bez celu od wsi do wsi, a wszędzie znajdujących gościnne przyjęcie i wdzięcznych słuchaczy. Czerkiesi lubią muzykę, chociaż sami jej nie uprawiają. Ich pieśni są tak jednostajne, jak jednostajnem jest ich życie.

Głos Ismeny wartał też, by go słuchano.

Ale i treść pieśni należała do tych najcudniejszych, które uwieczniono w czerkieskiej poezji.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bartek Zuberek.

Dziwny to był chłop, ten Bartek Zuberek. Takiego człowieka to dzisiaj już cheba trudno nadybać. Chłopina ci to był nieduży, dość szczupły, włosy miał czarne, a twarde jak druty, tak, że lekki kapelusz niełatwoby na nich usiedział. Cerę miał śniadą, zdrową, oczy — jak kot — szare, no, i wąsięta takie — po pięć kłaków, — trochę pochylony ale krzepki jeszcze. Nigdy ci pomału nie chodził, ino szedł, szedł prędziutkiemi kroczkami, choć mu się przecie nikej nie śpieszyło. Lat miał już może z kopę, ale się ta nie żenił. Jak się go kto spytał: „Bartku! no — i kiedyż pójdę wam za drużbę?" — to on zaraz: „Idź, ty, psio scyrniało, jest się to do czego śpieszyć — juści!..."

No, i nie śpieszył się. Siedział tu nad tym wąwozem, wiesz, hajnok nad Chorasiowym ryśtokiem. Ale nie sam. Siedziała ś nim w tej chalupie i jego siostra, Margośka. Ona też miała z jakie czterdzieści kielka roków, — i oboje się ta nie śpieszyli... Żyli se w panieństwie, jak Poniezus przykazał.

Budzinę mieli — jakze to pedzieć — lun, trochę taką jak i oni: stare to było, już i kej niekej pognite, okienka małe, a ino szopy z płotu stały doookoła — jak jakie torby dziadoskie. Strzecha z trzech stron to aż prawie do ziemi dochodziła, tak, że czasem w zimie to sople aż w śnieg wrastały, jakby przed wiatrem kto chałupę do gruntu przyścibiał. No, tak to wyglądało, jakby se stara baba do słońca siadła, w czarnawą chustkę się odziała — aż do ziemi, żeś jej ino trochę posmoszczanej gęby widział. A okna tej chałupy, jakem już narzekł, to taki miały wygląd — jak oczy u człeka jakiego, co się nie wyspał: małe, zazieleniałe, — ta jakby ci gadały: ni ckawygo, staro biyda!...

A w środku? hy, — stał ta w sieni jakiś sąsiek na zboże, jakisik ta mylynek, kosa wisiała na kołku... Izbina — to taka — do Ciebie, Panie!... W jednym kącie kotos Margośki, w drugim znów wyrko Bartkowe, stoliczyna pod oknem, pod ścianą ławka jedna, rozhuśtana — tak — na — oj dana — no, i druga, taka znowu wąziutka i twarda, że jakeś na niej z pół godziny posiedział, toś ino, — ućciwszy

ta i ciebie, chodzieś ta nie starszy, — toś ino o jednem myślał...

Ale zato miał Bartek w swojej chałupinie prawdziwą ozdobę: jakeś tam wlazł, — a jeszcze tak za dnia, — no, to jakbyś gdzie do jakiego najdziwniejszego lasu zaszedł. A to kosy, to drozdy, gile, czyże, podgorzoły, śpiochy, szczygły, dzwońce, krzywonosy, — co nawet tego teraz tu niema wszystkiego, — śpiewa to hurmą, gwiżdże, drze się, — coś nadzwyczajnego!... Bo strasznie się Bartek w tych ptakach lubował. Stawiał na nie ciągle sidła, łapanki, ślaczki, a klatek to miał może więcej jak dziesięć koło ścian w izbie. Łaził po lesie, zbierał im na zimę ziarna z olszyny, to z szyszek, i kto go tam już wie, z czego, bo każdy ptak przecie ma wyznaczone od samego Pana Boga pożywienie.

Albo znów innem „rzemiosłem“ się Bartek zajmował. Jak ta się już wszystko uciszyło, słońce zaszło, a najwięcej w zimie, to Bartcątko myk pod las — i dalej stawiać oka na zajęce, to paści na lisa, a nieraz to se stanął gdzie za sosną — i stał tak, stał, aż się doczekał... A lecz parę roków to ci i z fuzyją czasem wyłaził pokryjomu. Skądsik tam dolu-berował, — niby dostał — gdzieś jeszcze od ojca Maćka Zoczepy, taką starą pojedynczynę, brał to pod chaderę, no, i czasem to i co ś ni ciapnął, jak się tam zdarzyło. Ino go raz pokarało, bo ją se schował na tymczasem do dziury w drzewie, ktosik go tam przepenetrował, poszedł, wyniuchał i wziął, zdał ziandarom na Witkowicach, pedział, że nalazł w lesie. Aj, klon też Bartek, klon, że jaż okropa!... Okrutnie go to właśnie sparło...

A w lesie było tak samo, ino że codzień raniutko, jeszcze po rosie, biegł Bartek z koszykiem na grzyby, a miał ci do nich czuja, jak rzadko... A potem poszedł do miasta i sprzedawał je kupkami na rynku, tu — na rogu.

Juści ta i w polu też musiał robić, bo ta Margośka to takie już to było do niczego, jakiesik koślawe, chorowite, — taka tam stęka... Ale co on tam miał tego pola!... Do torby byś to wszyćko zabrał...

No, i tak se żyło lata Bartcątko z tą siostrą Margośką, jak Pombuk przykązał... A lubili go ludzie straśnie... Bo chłop był ś niego dobry, — o, straśnie dobry!... Pogadał, pośmiał się z tym i z tamtym, hecowny był zawsze i wesoły, a nigdy nie zaklon, żeby tam co się stało, chyba czasem, jak go tam już co napaliło, to se ino pedzioł: ty, psio, scyrwiało!... I takie ci było jego klęcie.

A umiał ci grać ładnie. Toteż co niedzielę ciągle u niego była muzyka. Bartek na skrzypcach rżnął raz grubo, raz cieniutko — jakby jaka dziopa śpiewała, ktoś tam wziął „sekond“, a stary Ferlak charatał na basiętach, aż się chałupa trzęsła. Grali, tańcowali, śpiewali — młodzi i starzy, a jak ta ci muzykanci trochę sfolgowali, to ino gwara, a śmiechy dziouch, a Bartcątko ino se fajecke bęksoł, a spluwał delikatnie, a z uciechy to mu się ino te wąsięta ruszały.

No, i tak to ta było.

Ale cóż! — na każdego kryska przyjdzie, wszystko się ku swojemu końcowi pomyka, nikt tu nie będzie wiekował. Jak to już Bóg Ociec ziemi powiedział, jak przyszła się do Niego upominać o swoje pożywienie... Co wydasz, — rzekł jej, — to w ciebie z powrotem wejdzie!... A przecie z prochu człek pono powstał...

Takie to już Boskie urządzenie...

Jakosik pod gódnie święta zasłabł, niby zachorował Bartek. Nic nie pomagało, ani kadzenie, ani pacierze do Przemienienia Pańskiego, ani okłady z ziela, a nawet taki doktór wsiowy, jakisik tam bajac od Świątnik, nie zdołał ulżyć Bartkowi.

A biedna Margośka to ino się ciągiem modliła na różańcu, a w kącie cichutko ślofała, a lamentowała, jak kto przyszedł.

Razu jednego, a wieczór był piękny, ino się gwiazdy iskrzyły na śniegu od miesiączka, powiada Bartek swej siostrze: — Isz ty co? — a idź-no, przynieś z pola tego szczygła — jak to hań w łapance się tłucze. — Co ty pleciesz? — powiada Margośka — przecie już od paru tygodni ślaćzków nikej koło chałpy niema, bo co jabym z tem robiła? — E, psia, scyrwiała, — pójdę sam i weznmę!... I zaczął się ruszać, ale cóż? krzypota i słabość mu nie dały.

I jakosik w tej samej chwili trefiło się, że miesiączek kapkę się niby tak nakręcił, i rzaza ogromna zalała całą izbinę, bo ta w niej i nie świecili, bo już i łuczywa nawet brakło...

Ruszył się znowu Bartek. — A idź-że, mówię ci, Margośka, i weź tę ptasinę, uskwierknie tam na mrozie, przecie już dawno rano. A kto wie, kiej się ta złapała...

A ci w te razy, jak ci się ruszy ta cała branć w tych klatkach, jak nie zacznie śpiewać a gwizdać, i jakby se cosik po swojemu opowiadać — no, to jaz, jaz — coś dziwnego... A kosy, to ta jak na wiosnę dzwoniły... a szczygły, a dzwońce!... Myślały, że to dzień — ano...

— Ptaszyny moje! ptaszyny biedne!... już ja was więcej nie usłyszę — szeptał Bartek — a nie gniewajcie się na mnie, żem was tu hereśtował — nie dbałem to o was, i w lecie — i w zimie zwłaszcza?... — Ptaszyny moje!... ptaszyny, chudobo moja!...

Seplenił tak jeszcze chwilę, a łzy to mu jak groch z oczu leciały, a potem to coś w nim tak szarpło — cicho, a głęboko... I zaraz coś białego śmignęło koło okien — i zniknęło...

A ptaki w klatkach długo jeszcze nutowały, gwarzyły, ale tak jakoś żałośnie, że mój, Ty Boże, mój Boże!...

I tak ci to usnął na wieki Bartek Zuberek, a był ś niego chłop doobry, doobry, — o, straśnie dobry!...

Franciszek Surówka.



Wielbmy Marję.

Wielbmy Marję, w niebie na ziemi,
W miesiącu maju, gdy wita wiosna,
Niechaj radością świat się promieni,
Niech pieśń ulata w niebo radosna.

W świąteczną szatę przyroda cała,
Przepysznie mile się ustroiła,
Na cześć Marji się rozśpiewała,
Hymnem miłości wiosenka miła.

Czy w kwiecie wieku, czy starzec siwy,
Czy to z pałacu, czy z lichej chatki,
Każdy się w maju czuje szczęśliwy,
Wszędzie a wszędzie, kwiatki a kwiatki!

Za ten maj piękny, za ten czas miły,
Cóż Ci dam Matko moja w ofierze?
Będę Cię kochał ile mam siły,
I na Twój Ołtarz dam kwiaty świeże!

Pod stopy Twoje, kwiatuszki składam,
Z tych moich czynów, co Tobie miłe,
Przed Tobą Matko nisko upadam,
Racz mi dać męstwo, wytrwałość, siłę!

Szczepan Orzech.

NA POLU CHWAŁY.



Smutna jest dola żołnierska. Porzucić musi dom, rodzinę, matkę, ojca, żonę lub narzeczoną i wołany twardym nakazem służby dla Ojczyzny idzie tam, gdzie śmierć czyha na każdym kroku, gdzie zewsząd grozi niebezpieczeństwo, gdzie każda chwila jest niepewna. Zabijać musi tych, którzy przeciw niemu osobiście nic nie zawinili, nadstawiać musi piersi na kule tych, którym on nigdy w życiu nic osobiście złego nie uczynił. Tam przy stolikach w stolicach państw decydują wojnę, a żołnierz, jako ślepy wykonawca idzie wypełniać wyższe rozkazy. I często nie wie, dlaczego i za co ginąć musi. Straszna jest wojna!

Straszną jest wojna, jeżeli żołnierz musi ginąć za obcą sprawę, jeżeli musi kłaść życie dlatego, aby zabrać komuś to, co ma najdroższego, a więc własną jego ojczyznę. Wskutek tego wszelką wojnę zaborczą trzeba potępić jak najsurowiej.

Ale ileż uroku, ile wzniosłości ma wojna, jeżeli syn swej własnej Ojczyzny staje w Ojczyzny tej obronie. Wówczas żołnierz wie, że nie walczy dla nikogo i za nikogo, że nie pożąda niczyjej własności, ale broni swej ziemicy, którą mu ojcowie jego pozostawili. A kiedy mu tak piękny cel przyświeca, to za nic trudy, za nic mozoły, za nic krew przelewana! Ofiaruje wszystko dla dobrej sprawy, a jeżeli mu nawet przyjdzie paść na polu walki od kuli wroga, to umiera bez żalu, bo wie, że spełnił swój obowiązek, że oddał życie za Tą, która matką jego była i dla której wszystko poświęcić był powinien.

Takiego żołnierza-bohatera przedstawia artysta na naszym obrazku. Ułan polski padł na polu chwały w obronie swej Ojczyzny. W oddali grzmią armaty, świszczą kule karabinowe, krew leje się strumieniami. A on spokojny i cichy leży na tej ziemicy, w której stanął obronie. Wierny koń jego, towarzysz jego

bojów, trudu i znoju oddaje mu niejako ostatnią przysługę. Zwiesił smutny gołwę nad zwłokami swego pana, który mu nie panem był, ale przyjacielem i towarzyszem. Żegna go westchnieniem bolu, a choć słów wypowiedzieć nie umie, to przecież z całego jego wyglądu i zachowania się widać, że ból ten jest ogromny.

A tam z mgieł wyłania się Anioł złocisty, dzierżący w ręku wieniec chwały dla poległego bohatera. Przyszedł Anioł, aby zaprowadzić duszę wiernego syna swej Ojczyzny przed tron Najwyższego, gdzie za wszelkie swoje trudy otrzyma sowitą nagrodę na wieczne czasy.



Jacysi grzysi ponieśli mnie wkiejsik do Krakowa. I jako ze — myślę se — w Rzymie być, a papiża nie widzieć, to nie uchodzi. Sparła mnie ciekawość, ze jaze musiałem se pasa poprawić, w jaki tez sposób robią te redaktory nasą kochaną „Rolę". Walę tedy do drukarni i pytam sie kaj i gdzie. Prowadzą mnie do wielgaśny izby, a tam, jak u nas na chórze, stoją niby organy, a nie organy, bo podobne do organów, ino tyle, ze sie w nich, jak w piekle, ołów gotuje. A przy tych niby organach, a nie organach, siedzi se trzech panów, jakby organisty a nie organisty, i przebirają palcami po klawisach. Na pirse wejrzenie zdaje sie człekowi, ze oni na tych organach godzinki wygrywają. Ale, jak sie kto wsłucha lepiej, to zaraz spostrzeze, ze to nie organy, bo zadnego grania nie słychać, ino za kazdem uderzeniem klawisa jedna literka wyskakuje i ustawia sie w rządek tak, jak ją potem w gazycie widzimy. A jak sie ich ustawi cały rząd, to taki organista, a nie organista, odstawia ten rządek na bok i wali drugi, trzeci, dziesiąty i tak dalej. A jak sie tego uzbira cała kupa, to obwiązuje powrózkiem i daje do drukarni. Za parę godzin wszyćko gotowe, trzeba to ino potem na papirzu wydrukować.

Niosą chłopaki całe stronnice „Roli" do durkarni, więc walę i ja za niemi. W durkarni stoją znowu takie masyny, jakby do młócenia zboza, a przy kuzdej swendają sie jedna, albo dwie panienki i gdziesi cosi w nich dłubią. Ciekawiły mnie masyny, ale jesce bardziej masynowe panienki. Bo miastowe panny to całkiem do wiejskich dzieuch niepodobne. U wsiowskiej dziopy to nawet najgłupsy rozezna, gdzie ręce a gdzie nogi, gdzie głowa, a gdzie co inksego. U miastowy zasie nie. Co do głowy, to tam jesce jakosik domyślić sie mozna, bo przecie kuzdemu wiadomo, ze człek, to nie bydlę i ma głowę na wirzchu, a nie z boku, ale gorzej z rękami i z nogami: te gołe i te gołe; to wyłazi całe z pod smatek i to całe. Poniewaz wiem, ze wobec kobiet trzeba być grzecny, więc jakem wsed do durkarni, chciałem najblizsą z brzega, a taką obsyrnią, jak plebańska stodoła w rękę pocałować. Wyciągam więc gicale i łapię za to, co było najblizej. A owa panienka serdeczniuśkiem głosem powiada mi: „Świnia!" Patrzę po sobie, cy mam ogon i ryj, ale gdym nic z tego nie ujrzał, tak zasumowałem sie okropnie, co ta panienka chora jest na przewidzenia. Wnet jednak zrozumiałem całą rzec, gdy mi gazyciarze pedzieli, ze panienka ta stoi na podwyzseniu, a bez to nogi ma tam, gdzie inksi ludzie mają ręce, a ręce to jesce o całe piętro wyzej. A za nogi miastowej panny w jasny dzień i przy ludziach łapać nie mozna, bo sie obrazi i zeklnie. Co inksego wiecorem.

Taka to juz nieposkładana rzec z temi miastowemi hrabiankami. Nie wiadomo, co jak i gdzie, a choć ma ochotę, to udaje świętą i zaraz sie obraza. Co inksego z nasemi dzieuchami na wsi. Kuzden, choćby i najgłupsy wie, które miejsce dzieucha ma do scypania, a które do uwalenia i choćbyś ją nawet na procesyji w miejsce to dotknął, to sie nie obrazi, ale z ukontentowania, zęby ci pokaze, jakby powiedzieć chciała: „Jesce raz!" A miastowa choćby chciała tego i miljon razy, to cię zeświniuje tak, ze potem nie wis, co ci cynić nalezy i bez to miastowe panny zawse takie smutne chodzą, bo ni mają tego, co im potrza.

Ha — myślę se — nie chcą te panienki, cobym je usanował, to sie przynajmniej trza popatrzyć, jak sie nasą „Role" durkuje.

Pomiędzy masynami i panienkami chodził se taki rzońca, który, jak trza było, to jedną, albo drugą naoliwił, ocywiście masynę, a nie panienkę, a potem nacisnął jakisik guzicek i maszyna posła w ruch. Patrzę sie i ocom wierzyć nie chce: Jedna z panienek kładzie cyściutki papir na masynę, a masyna, jakby rozgniwana: hrast! i juz ze siebie wyrzuca wydurkowaną calusieńką „Rolę", na wszystkie szesnaście boków, w tej chwili odbira ją druga i odkłada na bok. A jak sie tego większa kupa nazbira, odnosą do inksej izby, ładnie składają, ubirają w kolorowe kosulki i wysyłają w świat.

Tak mi sie ta robota podobała, więc byłbym na nią patrzył całemi godzinami, ale sie bałem o swoją cnotę, bo te masynowe panienki tak sie we mnie wpatrywały, ze nie wiadomo, coby sie było tak pod wiecór stało.



Skarga.

Cieszy mnie wiosna, ptasząt śpiewanie
I szmer łagodny strumyka,
Ale mnie smuci, moje kochanie,
Bo wciąż odemnie umyka.

Czym ja nie hoża? czy żem nie młoda?
Jak kwiat w wiosenne zaranie,
Na co mi młodość, na co uroda,
Kiedy nie dla mnie kochanie.

Siostrzyczkę miałam, zamąż wydałam,
Poszły zamąż koleżanki,
A ja się tylko, sama zostałam,
By drugim ślubne pleść wianki.

I lata lecą, łzy w oczach świecą,
A serce me tęskno bije,
Może i dla mnie, gdzieś tam na świecie
Siostrzana dłoń wianek wije.

„*Asta*".

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Kochinchina I.

Jak to już zaznaczyliśmy, północną część Annamu tworzy Tonkin, zaś południową Kochinchina. W Kochinchinie są właściwie tylko dwie pory roku: pora sucha i pora deszczowa. W ostatnich miesiącach pory suchej, w marcu, kwietniu, maju, a często i w czerwcu, temperatura podnosi się znacznie i jest zupełnie przykrą dla Europejczyków. W porze suchej wszystko zamiera na ziemi. Ziemia spieczona żarem promieni słonecznych odpoczywa, wszystko na niej jest uśpione, niema najmniejszego wietrzyku, za to w powietrzu ogromne naprężenie elektryczności, które nawet oddech utrudnia; wieczorem dają się słyszeć grzmoty i w oddaleniu bijące pioruny; każdy wzdycha za deszczem, ale najczęściej grzmot się oddala i cisza nastaje.



Zaprzęż bawołów.

Przy końcu maja lub na początku czerwca zaczyna się pora deszczowa; wtenczas nadzwyczajne nawałnice, prawie codziennie odświeżają powietrze. Te ulewne deszcze krótko trwają, w pół godziny lub godzinę najwięcej burza nagle ustaje, a promienie słoneczne, jaśniejsze i gorętsze, użyźniają ziemię, — ptaki ukryte w liściach śpiewają, naprężenie elektryczne z deszczem ustaje i ogólnie wszystko doznaje błogiego uczucia.

Kochinchina, mimo tych wszystkich ujemnych stron klimatu, jest jednym z najurodzajniejszych krajów, a gdyby ziemia była dobrze uprawiana, mogłaby uchodzić za najbogatszy obszar na kuli ziemskiej.

Niestety, często wśród tej bujnej wegetacji, gdzie wszystko wre życiem, śmierć dotkliwie rozpościera swą władzę. Klimat kraju jest nadzwyczaj niezdrowy, zwłaszcza dla Europejczyków, i zmusza ich do używania różnych środków zaradczych. Wyziewy z bagien sprowadzają febry nieustające, gorączki zgubne, które jeżeli natychmiast nie są usunięte, sprowadzają śmierć w drugim lub trzecim paroksyzmie. Cholera jest prawie nieustająca w Kochinchinie; co trzy lub cztery lata objawia się gwałtownie, jako epidemja, szczególnie między krajowcami, którzy żyją w warunkach bardzo niehigienicznych. Każdego roku umiera na ospę mnóstwo dzieci i młodzieży.



Typy mieszkańców Kochinchiny.

Zwierząt jest wielka obfitość w Kochinchinie. — Znajdują się tam słonie, nosorożce, bawoły i rodzaj wołów zwanych „dzin“. Po lasach krąży wiele tygrysów, uganiających się za sarnami i jeleniami. Anamici polują na nich rzadko bronią palną, ale przez różne zasadzki starają się sprowadzić ich w pewne doły głęboko wykopane, z którychby już wyjść nie zdołały. Poniekąd tygrys uchodzi w ich oczach za pewien rodzaj bóstwa, dlatego lubią nosić ząb jego jako amulet dla uniknienia jego gniewu, a niektórzy mieszkańcy okolic, w których się często pojawiają tygrysy, wywieszają po domach plakaty kolorowe z pochwałami tych krwiożerczych zwierząt; tym sposobem spodziewają się zjednać ich łaskę.

Do dźwigania ciężarów używaja najczęściej bawołów i dzinów, jak to widzimy na naszym pierwszym obrazku. Konie kochinchińskie są małe i słabe i dlatego używane bywają tylko do podrzędnych robót.

Między ludnością Kochinchiny, która jest bardzo różnorodna, pierwsze miejsce zajmują Anna-

mici i przemagają nad innemi plemionami tak liczbą, jak i znaczeniem. Annamici należą do rasy żółtej czyli mongolskiej. Są oni marzycielami, ale nie mają wzniosłego ani bystrego pojęcia. Są nadzwyczaj wrażliwi i obdarzeni dobrą pamięcią, więc to, co słyszą, łatwo pojmują, ale nie zagłębiają się w nie należycie.

Język annamicki jest nadzwyczaj biedny, toteż język ten łatwy byłby do nauczenia się go, gdyby nie trudność akcentowania, które Europejczykowi niełatwo przychodzi. Każde prawie słowo może się wymawiać z sześciu odmiennemi tonami i każdy z nich nadaje mu inne znaczenie. Naprzykład słowo „ma" wymówione tonem zwyczajnym znaczy „duch", tonem pytajnym „grób", wznoszącym się „koń", ostrym „policzek", opadającym spójnik „dla", poważnym czyli podniesionym „pole zasiane ryżem".

Na naszym drugim obrazku podajemy kilka typów mieszkańców Kochinchiny. Oto pośrodku stoi jakby jakiś europejski elegancik, dwaj inni po jego prawej stronie niczem się nie różnią od Chińczyków, ale już ci po lewej w niczem do nich nie są podobni. A takich typów najróżnorodniejszych jest wielka obfitość.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

I tym trybem dalej piorunował i odgrażał się biedakom, że obydwaj strażnicy potruchleli z przestrachu i nuż dalej kłaniać się aż do kolan wielmożnego sędziego i prosić pokornie, aby raczył łaskawie przemilczeć całe zdarzenie.

Pan sędzia długo dał się prosić i błagać, aż zmiękł nareszcie, gdy jeden ze strażników przyrzekł paczkę wybornych cygar, a drugi spory zwój węgierskiego tytoniu w nagrodę milczenia.

— Bogdaj to mieć głowę na karku — mruknął po wyjściu strażników z zadowoleniem, zacierając ręce. I setek kilka kapnie do kieszeni i dziedzica się złowiło na wędkę i cygarka i tytoń przypłyną i temu hołodrydze będzie można puścić finfę w nos!

Poufny ten monolog przerwało nagłe wejście walecznego aktuarjusza, naszego nieocenionego pana Gustawa Chochelki i jego nieodstępnej suki Pepity.

Godny zastępca pana mandatarjusza, upędziwszy ćwierć mili w piekielnym przestrachu, opamiętał się jakoś, że przecież bądź co bądź grochowym nabojem nie mógł zabić na śmierć swego pryncypała.

Przypomniał sobie też najwyraźniej, że strzelając w swem bohaterskiem uniesieniu, mierzył w górę, prosto w niebo.

Trochę mdło mu się zrobiło koło serca, kiedy zbliżał się do prześwietnej dominji, ależ za to widzieć go było o kilka chwil później, kiedy spotkawszy się z policjantem, dowiedział się, że nietylko ten sam żadnego nie poniósł uszkodzenia, ale i pan sędzia zdrów jak ryba i właśnie co długą z dziedzicem odbył naradę.

— Teraz rewizorów przywołał do kancelarji — kończył policjant — ale wygląda coś bardzo rozsierdzony.

Pan aktuarjusz w jednej chwili w innego zmienił się człowieka. Poprawił na prędce zawiesiste bokobrody, podciągnął sztywne kołnierzyki, potarł czuprynę gwałtownie i co tchu popędził ku domowi.

Jak bomba wpadł do kancelarji i zabójczemi dokoła miotając spojrzeniami, zawołał zdyszanym głosem:

— To, to! djabeł go tam dopędzi!

— Kogo? — zapytał mandatarjusz zdziwiony.

— A tego łotra rozbójnika.

— Maziarza?

— Pół mili pędziłem za nim.

Pan mandatarjusz zgłupiał zupełnie i niemiłosiernie rozdziawił gębę.

— P... p... pędziłeś? — zająknął się.

— Ale cóż? nie mogłem nigdzie przydybać konia, a piechotą ani rusz dopędzić łotra!

Pan mandatarjusz teraz dopiero opamiętał się ze swego zdziwienia, a przypominając sobie jednocześnie ten wystrzał niespodziewany, zmarszczył brwi, przygryzł wargi i gniewnie wzruszył ramionami.

— At, milczałbyś pan do licha — ofuknął z oburzeniem. — Za kogóż mię to masz, abym wierzył twoim banialukom!

Pan aktuarjusz zaperzył się urażony.

— Wolno wierzyć albo nie wierzyć, jak się panu sędziemu podoba! — burknął zuchwale.

Pan sędzia groźnie podniósł się na pięty, ale wtem na szczęście pana Chochelki rozwarły się drzwi i w żołnierskiej postawie wszedł Mykita Ołańczuk.



Rozwarły się drzwi i wszedł Mykita Ołańczuk.

Twarz pana sędziego surowy i złowrogi przybrała wyraz.

Pociągany do protokółu Ołańczuk powtórzył szczegółowo wszystko to, co wczoraj i dzisiaj wyznał przed Juljuszem.

Pan sędzia ukończywszy śledztwo, w zamyśleniu przechadzał się po pokoju, a obracając się do swego nader pilnie przy stoliku zajętego aktuarjusza, podyktował mu zwykłą formułkę, zamykającą protokół, a potem sam wziął pióro do ręki i z wielkim zamachem i kunsztownymi wykrętami nakreślił swoje imię.

— Skończone! — mruknął i odetchnął po ciężkim trudzie.

— A cóż, proszę wielmożnego sędziego, stanie się z Kostiem? — zapytał Ołańczuk z właściwym sobie wyrazem zawziętej nienawiści.

Mandatarjusz groźnie nasrożył wąsy.

— Z Kostiem, nie wiem — mruknął z przyciskiem — ale ty pójdziesz do aresztu.

— Ja! za co?

— Ukradłeś konia, urwiszu!

Ołańczuk skoczył jak opętany i przeżegnał się całą pięścią.

Pan sędzia krzyknął na policjanta.

— Okuj mi tego łotra i wsadź do tylnego aresztu.

— Ależ dla Boga, ja nie wiem nic o żadnym koniu.

— Milcz łotrze!

— Ależ łaskawy sędzio...

— Ho, ho, już ty się przyznasz ptaszku, jak parę miesięcy posiedzisz o chlebie i wodzie.

— Parę miesięcy!... — wyjęknął Ołańczuk z dziką złością.

Pan mandatarjusz skinął tylko ręką, a barczysty policjant w okamgnieniu założył kajdany byłemu żołnierzowi i za kark wyprowadził go z kancelarji.

W tej chwili z trzaskiem rozwarły się drzwi, — a pani sędzina wpadła zadyszana do pokoju.

— Ty nic nie wiesz! — krzyknęła z pełnej piersi na wstępie.

Pan mandatarjusz wytrzeszczył oczy.

— Sięczkowska tu była z Oparek!

— I cóż?

— Powiadam ci, dziwne rzeczy dzieją się we dworze! — trzepała prędko, jakby w obawie, aby jej kto nie uprzedził.

— Cóż przecie?

— Wyobraź sobie, ten przybysz nieznajomy, ten Czort... Czort... at djabeł go tam wie, jak się nazywa!

— Katilina?

— A tak, ten Katilina, zniknął gdzieś bez wieści i słychu.

— Eh! — mruknął pan mandatarjusz niedowierzając.

— Ale powiadam ci, tej nocy punkt o dwunastej kazał się obudzić lokajowi i uzbrojony w dubeltówkę, cztery pistolety, sztylety i pałasze...

— Co, co, co? — przerwał mandatarjusz, cofając się o parę kroków w tył.

— Powiadam ci, Sięczkowskiej wszystko to opowiadał sam Filip, który mu konia przyprowadził. — Dziedzic o niczem nie wiedział.

Mandatarjusz z niedowierzaniem pokiwał głową.

— Ale powiadam ci: rano kazał go szukać, ale nie było nigdzie ani śladu, dopiero dziś w południe powrócił...

— Powrócił?

— Sam koń bez jeźdźca.

— Owa!

— Dziedzic lata po pokojach jak opętany, bo nie wie, co o tem myśleć.

— Zapewne urwisz gdzieś kark skręcił jak mu to powiedziałem — mruknął mandatarjusz z zadowoleniem zacierając ręce.

Jak widać Katilina ciągle jeszcze okrutnego nabawiał go przestrachu i respektu.

— A gdzież Sięczkowska? — zapytał nagle swoją połowicę.

— Jest u mnie.

— A to można się wszystkiego dowiedzieć od niej samej — mruknął, wychodząc z kancelarji.

XV.

Wątpliwości.

Idąc niewolniczo za tokiem wypadków, musimy znowu zajrzeć do hrabiowskiego pałacu w Orkizowie.

Hrabia zamknął się w swej kancelarji i jakąś ważną i tajemną naradę wytoczył z Żachlewiczem, którego mieliśmy sposobność poznać nieco bliżej za pierwszym razem.

Hrabina otrzymała świeżą przesyłkę książek i nut i od kilku godzin już zaczytała się w najnowszem dziele. Nagle szybki krok dał się słyszeć w przyległym pokoju, a do przepysznie urządzonego saloniku wpadła jak strzała Eugenja.

Hrabina podniosła książkę w ręku i wpatrzyła się w córkę z niemem zapytaniem.

— Niech mnie mama łaje jak chce — zawołała zaraz na wstępie — ale znowu nasłuchałam się bez liku nowin od Solczaniowej.

Hrabina wzruszyła ramionami i przysunęła książkę bliżej ku oczom, jakby żałowała czasu na próżną rozmowę.

Eugenja podskoczyła zręcznie ku matce i w pospiechu ucałowała jej drobną rękę.

— Musisz i ty posłuchać, kochana mamo, bo obydwa wypadki to jakby żywe zdarzenia najciekawszego romansu, a wszystko to się stało u naszego sąsiada czy kuzyna... u pana Juljusza.

Hrabina wydęła spodnią wargę.

— Przed dwoma czy trzema dniami — prawiła dalej Eugenja — przybył do niego jakiś dziwny znajomy, kolega szkolny, przyjaciel... Nazwiskiem Czorgut, czy Czorgat. Wyobraź sobie, kochana mateczko, jak tylko pojawił się w Oparkach, owładnął wszystko i wszystkich do tego stopnia, że on, a nie Juljusz zdawał się być panem domu. Człowiek ten, zabawiwszy zaledwie dwa lub trzy dni w Oparkach, kazał sobie tej nocy osiodłać konia i nie mówiąc nic nikomu, wyjechał uzbrojony od stóp do głowy. Około południa wrócił jego koń, sam bez jeźdźca i co szczególna, — przybiegł z przerwaną uzdą i raniony w bok, jakby go ktoś pchnął szablą lub dzidą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wielkość Sienkiewicza w narodzie.

Po kataklizmie styczniowych bojów i zmagań 1863 r. z przemocą brutalnego ciemięzcy, kiedy stalowego hartu duch narodowy poczynał opuszczać skrzydła, a naród stanął jakby na rozstaju, nie wiedząc co począć, rozległy się hasła pogodzenia się z losem, hasła noszące w sobie zarodki zmarnienia.

Te to ciężkie czasy niedoli duszy polskiej, mimo zabójczych haseł i częściowego zrozpaczenia, rozwijają w dalszym ciągu ideę odrodzenia, dzięki jednostkom, które cały zapas energji, zapału i zdolności, oddali na usługi narodu, czyto na polu społecznem, czy literackiem; bo przecież wiadomą jest rzeczą, że narodowi w niewoli przodują i organizują nie królowie, ale poeci-artyści.

Oni to krzepią zbolałego ducha, wskazują zorze świtu i wolności, przygotowują i hartują naród do oporności, do zwalczania krępujących go więzów niewoli.

Takim opatrznościowym mężem, który posiadł rząd dusz i karmił płodami literackiemi i podniecał drzemiącego ducha narodu, był ś. p. Henryk Sienkiewicz.

W wiekopomnej „Trylogji" powieściach osnutych na tle dziejów XVII wieku, zobrazował nawałę

nieszczęść, spadających na Polskę jak grom po gromie, ale przedstawił zarazem moc narodu, jego owoc wspaniałych czynów bohaterskich, które zgniotły i zniweczyły zakusy nikczemnego Szweda, a Ojczyznę wyrwały z potopu nieszczęść. Powieści olśnił i opromienił takim blaskiem miłość Ojczyzny, rozsiał w nich hojną dłonią genjalnego twórcy, takie bogactwo sił życiowych narodu, że książki te stały się, jakby objaśnieniem, eliksirem życia, ulgą gniotącej go tyranji. Z każdej karty tych powieści bije silnem tętnem poczucie wielkości, poczucie nieśmiertelności; bije tak głośno jak dzwon „Zygmunta" apel do pracy — do czynu. Pochłaniając poprostu te perły twórczości powieściopisarskiej starzy i młodzi czuli, że są potomkami bohaterów, w stal zakutych rycerzy — obrońców Ojczyzny, czuli, że naród o tak świetlanej przeszłości dziejowej zginąć nie może, a oni, jako latorośle kultur okażą się godnymi potomkami zbrojnego rycerstwa i będą walczyć tak długo, aż wróg schyli i ugnie mocarny kark, a okryty sromem i wstydem będzie uciekał tak, jak hytry Krzyżak z pól Grunwaldu lub Muzułmanin z krociami rozpasanego żołdactwa z pod murów wiedeńskich.

Powieścią „Quo Vadis" zyskał sławę narodów, a stawszy się najpoczytniejszym w świecie powieściopisarzem, ogłosił i przypomniał wszystkim państwom, że Polska, chociaż wymazana z karty Europy, nie drzemie i gnuśnieje, ale żyje i kroczy w jednym szeregu z kulturalnemi narodami świata. Czczony i wielbiony przez cały świat kulturalny, zyskał możność zabierania głosu w pismach europejskich o sprawach narodowych, bo jego głos dochodził wszędzie i wszędzie był słyszany. Jego listy do Wilhelma w sprawie wywłaszczenia były głosem całej Polski wobec aeropagu świata. Wielki pisarz i obrońca praw narodowych, stał się Sienkiewicz jałmużnikiem nieszczęśliwej swojej ojczyzny. Razem z Paderewskim i Osuchowskim utworzył na wolnej ziemi szwajcarskiej komitet generalny dla niesienia pomocy zniszczonej wojną Polsce. Za jego inicjatywą wezwał Ojciec święty cały naród katolicki do zbierania składek na Polskę. Wielkość pracy i mistrzostwo pióra Sienkiewicza odniosły pewien skutek, bo chociaż jego samego w drugim roku wojny światowej zabrała kostucha, to plon jego zasiewów w związkach i komitetach rósł i potęgował się tak długo, aż wydał upragniony owoc wolności. Bo też Sienkiewicz, ten genjusz ludzkości i tytan narodowej jaźni duchowej był meteorem narodów, dla Polski mężem opatrznościowym i chlubą narodu. Twórczością wzniósł ten mistrz słowa (jak o sobie powiedział Horacy) pomnik trwalszy, niż spiżowe, nad piramid szczyty wywyższony; nie uszkodzą go słoty zimowe, ani wieków pęd nieukrócony, ani szereg lat nieprzenikniony.

Franciszek Zyzański.

Awanturka Szmula.

(Humoreska).

Szmul, syn Natana Hosenbergera, handlował cielętami, wołami, krowami, kozami i rozmaitem bydłem, a że miał w głowie rozum, więc robił dobry geszeft. Razu pewnego szedł do domu ze wsi szosą, prowadził na sznurku kozę i bardzo się cieszył — czemu? — no, bo zrobił dobry geszeft i kozę kupił za pięć talarów. Ale było już bardzo ciemno, bo słońce już poszło za góry, i Szmul się namyślał, gdy się zbliżał do spuszczonego ślabanu, czyby mu nie udało się przemknąć z kozą pod ślabanem. Za siebie szosowego płacić nie potrzebował, bo przecie nie należał do bydła, ale do bardzo nauczonych żydowskich ludzi, co to i w talmudzie czytać umieją, ale dla kozy musiał mieć karteczkę, chociaż kozy takich karteczek nie jedzą, boby to była pasza za droga! a jakby go nie złapali, toby i dla kozy karteczki nie potrzebował.

Gdy Szmul tak myślał, zrobiło się jasno w oknie domku, bo ślabanowy wstał i zapalił świecę, a to wszystko dlatego, że Szmul myślał za głośno, a koza tymczasem ćwiczyła się w śpiewaniu. Więc Szmul zaraz kozę przywiązał do ślabana, aby mu nie uciekła, i poszedł do domku zapłacić za kozę za to, że może czasem rozdeptała jaki kamień albo dziurę zrobiła na szosie.

Ślabanowy wziął pieniądze, dał Szmulowi karteczkę i podniósł ślaban do góry, żeby Szmula z kozą przepuścić. Szmul na to nie uważał, wziął karteczkę i wyszedł.

Ale gdy przyszedł do ślabana i chce odwiązać kozę — aj waj! — patrzy — precz poszła! — niema kozy!

Dostał Szmul wielkiego przerażenia i strachu, poleciał napowrót do ślabanowego i krzyczy:

— Aj waj! Moja koza, moja koza zginęła! Przywiązałem ją, a teraz jej niema. Panie ślabanowy, pan mi się musisz postarać o moją kozę, bo ja tu za nią zapłaciłem. Aj waj, mojego kozę!

— Co mi do waszej kozy? Kiedyście ją zgubili, to ją szukajcie! — mówi ślabanowy.

Tymczasem spuścił ślaban i powiedział Szmulowi, żeby się wynosił, inaczej wyrzuci go za drzwi, bo chciałby spać. Ale Szmul nie wyszedł, jeno wołał:

— Ja was będę zaskarżyć, jak wy mi nie dajecie mojego kozę, albo sześć talarów!

Ny, przecie talara musiał na niej zarobić.

Ale ślabanowy nie dał ani kozy ani pieniędzy, jeno wziął pistolet i pogroził Szmulowi, że go zastrzeli; a że Szmul nie może słuchać huku, więc zaraz uciekł i ślabanowy drzwi za nim zamknął.

Szmul idzie znowu do tego miejsca, gdzie kozę był uwiązał, do ślabana, który znowu był spuszczony, i — widzi swoją kozę, przywiązaną do ślabana, ale leżącą na ziemi.

Pomyślał tedy sobie, że był głupi, kiedy jej przedtem nie widział, bardzo sobie uradował i szturchnął kozę nogą, żeby wstała i poszła z nim do domu. Ale koza nie wstała i ani się nie ruszyła. Dostał Szmul strachu i zawołał:

— Gwałtu, rety, panie ślabanowy! Moja koza zemdlała! Czemprędzej octu, żeby ją nacierać, to przyjdzie do siebie.

Ślabanowy jednak udawał, że nic nie słyszy i śmiał się pokryjomu. Szmul poleciał do drzwi i pukał — ale były zamknięte; więc znowu pobiegł do kozy i zaczął ją prosić, żeby przecie nie umierała, ale zaczekała jeszcze tydzień, to ją sprzeda, i potem wygodniej będzie mogła umrzeć. Wszystko to jednakowoż nic nie pomogło, bo czemu? — gdy u podniesionego ślabanu wisiała w powietrzu, przestała żyć, zanim ją ślabanowy spuścił na ziemię. I znowu pobiegł Szmul do okna i pukał i krzyczał:

— Aj waj, ratuj pan, panie ślabanowy, przecież pan chrześcijanin, a nie żyd! Ach panie ślabanowy,

gwałtu, rety, bo ja myślę, że ona nie żyje. Lepiej, żeby pan nie żył, panie ślabanowy, bo pan już nie młody, a ona dopiero ma trzy lata — zanadto młoda na swój wiek! Jak pan nie otworzysz, to żeby pan umarł, jak ona! Otwórz pan, może jeszcze można ratować; przecie to pana korzyść, panie ślabanowy, bo jak żyć nie będzie, to pan ją będzie zapłacił, bo pan ją zamordował!

Tymczasem ślabanowy otworzył. Szmul zaraz pakuje się do izby po ocet, ale — aj waj! — ślabanowy rozgniewany dla Szmula wołania, wyleciał z grubym kijem i zaczął go kłaść na Szmula z takim naciskiem, że Szmul upadł na ziemię i krzyczał:

— Aj waj, przestań pan! Aj waj, ja umieram — umieram razem z moją kozą. Gwałtu! jestem nieszczęśliwy i moja familja też! Zbójca! zbójca! Wprzód zabił kozę, a teraz zabija ojca, aj waj, ojca familji! Już forbai, już nie żyję! Ny, poco pan bije do cna nieżywego człowieka? Aj waj! Zbójca! Rabuśnik! Wontrobnik!

Podczas gdy tak krzyczał, wziął go ślabanowy za kark i wyrzucił z sieni na dwór, że aż w górę zatelegrafował nogami.

Szmul wciąż wyzywał, wreszcie zabrał nieżywą kozę na plecy i poszedł do domu i pocieszał sobie, że będzie mógł sprzedać jeszcze mięso i skórę. Ale w domu nie powiedział nic o tem swojej Surze, jeno że kupił zabitą kozę, bo tak jak mu ślabanowy wszedł na pierwszą hipotekę, byłaby mu Sura weszła na drugą hipotekę — aj waj!



Poradnik gospodarczy.

Przypomnienia pszczelarskie na czerwiec.

Pomimo, że maj tegoroczny nie dopisywał zbytnio pogodą, to przecież dzięki ciepłemu kwietniowi i wczesnej wiośnie siła rodziny pszczelej w ulach znacznie się wzmogła i jeżeli czerwiec będzie pogodny, to można się spodziewać tak wczesnych rojów, jak i później w czasie głównego pożytku dostatecznej ilości miodu. Byle tylko warunki sprzyjały, a będzie pociecha.

Czerwiec jest miesiącem rójki dla naszych pracowitych pszczółek. Nie da się zaprzeczyć, że rozkoszna to rzecz, widzieć tysiące tych kochanych muszek, wysypujących się z ula, aby założyć nowe gospodarstwo. Widok rójki pszczół, to prawdziwe wesele dla pasiecznika. A jednak rozsądny pasiecznik do rójki pszczół swoich nie dopuszcza, gdyż zbieranie rojów daje zbyt dużo roboty, a powtóre rój, szczególniej drużak (drugi z tego samego ula), jako posiadający młodą, a więc silną matkę, może sobie polecieć, gdzie mu się spodoba. Dlatego też pasiecznik do naturalnej rójki nie powinien dopuszczać, lecz ją uprzedzić i zrobić rój sztuczny.

Zawodowi pasiecznicy podają kilka sposobów robienia sztucznych rojów. Najlepiej jednak robić jest w taki sposób, który sprawia najmniej kłopotu. Jeżeli chcemy zrobić rój sztuczny, to robimy go z tego pnia, który bez zapobieżenia samby się wyroił. A który pień przygotowuje się do rójki, łatwo to poznać, gdy zaglądniemy do ula i zobaczymy tam dużo pszczół, zwisających kłębami pod ramkami, a pszczoły ciągną robotę trutową, a nawet zakładają mateczniki. Wówczas przygotowujemy sobie ul z próżnymi plastrami, a w braku takich z węzą i stawiamy go w dzień pogodny, gdy pszczoły idą silnie za pożytkiem, w pobliżu ula, z którego mamy zrobić rój sztuczny. Dajemy do niego dwa lub trzy plastry z jajeczkami lub młodym czerwiem z innych silnych pni do samego środka, zaś po bokach umieszczamy plastry próżne lub z węzą. Dobrze jest, aby na ramce z czerwiem był zakryty matecznik. Gdy nowy ul mamy już tak przygotowany, odstawiamy na bok ul, z którego robimy rój sztuczny, a na jego miejsce stawiamy nowy z czerwiem i pustymi plastrami. Gdy ul ten już jest ustawiony, odnosimy poprzedni ul na pewną odległość, gdzie pozostanie już na stałe. I robota skończona.

Cóż się teraz dzieje? A więc do ula nowego powraca z pola wszystka lotna pszczoła z zapasami miodu i pyłku. Coś ją tu niepokoi, brak jej nietylko dawnych towarzyszek, ale i matki. Przebiega ul, ale zamiast tego, co pozostawiła przed wylotem, widzi tylko nieco czerwiu, a w najlepszym razie nieodkryty matecznik. Godzi się szybko z swym losem. Składa zapasy do komórek i jeżeli matecznik jest, obsiada go gęsto, aby się prędko doczekać nowej władczyni i poddać pod jej rozkazy; jeżeli go zaś niema, to szybko powiększa jedną i drugą komórkę z jajkami lub młodziutkiem czerwiem i natychmiast rozpoczyna pielęgnować nową matkę. Dzieje się to tak szybko, że już następczynie, które z pola do ula wracają, zastają wszystko na nowem gospodarstwie uporządkowane. I praca idzie dalej bez żadnych załamań. Nowy rój, nie mając zbyt dużo czerwiu do pielęgnowania, zalewa szybko plastry miodem, a ubytek w lotnej musze zastępuje prędko młode wylęgłe z dodanego czerwiu. Później i nowowylęgła matka powetuje szybko ubytek, jaki przez pewien czas nastąpić musiał.

W starym ulu pozostała stara matka, młode pszczoły i duży zapas czerwiu. W pierwszej chwili zdaje się nam, że pień bardzo osłabł, gdyż młode pszczoły w pierwszy dzień nie wylatują jeszcze na pole. Ale już nazajutrz najstarsza młodzież około południa wyrusza na przegrę. Nazajutrz widać jej jeszcze więcej i z dniem każdym coraz więcej. Rodzina pszczela powraca do dawnego życia, pień rośnie w siły i prawie nie odczuwa ubytku, jaki go spotkał z naszego rozporządzenia. A pasiecznik nie musiał łapać pszczółek po gałęziach, a stracił tylko tyle, że nie słyszał rozkosznego brzęczenia, jakie pszczółki w czasie rójki wydają.

Roje stuczne można robić jednak tylko z pni silnych; zrobione ze słabych będą słabe i nie przyniosą żadnego pożytku, a nawet zmarnieć mogą.

Jeżeli same pszczoły do rójki się nie sposobią, jeżeli w ulu mają miejsca dość i nie próżniaczą, to i rojów sztucznych robić nie potrzeba, bo lepiej mieć jeden pień silny, aniżeli dziesięć słabeuszów. Jeden silny pień może nam dać kilkanaście kilegramów miodu, a dziesięć słabeuszów zjedzą w jesieni kilkadziesiąt kilogramów cukru i wkońcu w zimie lub na wiosnę padną z głodu.

KRONIKA.

Zwołanie i odroczenie sejmu. Wskutek pisma wystosowanego do Pana Prezydenta przez trzy stronnictwa ludowe, chrześcijańską demokrację i socjalistów, czyli tak zwany centrolew, Sejm został zwołany na piątek 23 maja. Na godzinę jedak przed rozpoczęciem sesji sejmowej marszałek sejmu otrzymał pismo Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, odraczające sesję na dni trzydzieści. Pan premjer Sławek w piśmie, ogłoszonem w godzinę później, motywuje odroczenie sejmu względami gospodarczemi. Twierdzi on, że sesja sejmowa nietylko nie przyczyniłaby się do polepszenia sytuacji gospodarczej, ale mogłaby raczej przesilenie zaostrzyć.

Wybory do sejmu na Wołyniu. W niedzielę 18 maja odbyły się wybory do Sejmu w okręgu Łuck-Równe na Wołyniu. Udział w wyborach wzięła zaledwie trzecia część uprawnionych do głosowania, gdyż stronnictwa polskie, z wyjątkiem „Wyzwolenia" od wyborów się wstrzymały. Wobec tego zostali wybrani posłami sami Rusini, a mianowicie: Serwetnik, Drozdowski, Dr Rotfeld, Własowski, Niwiński i Durdełła. „Wyzwolenie" nie otrzymało żadnego mandatu, gdyż brakło mu do wyboru 500 głosów.

Tajemnicza śmierć dwóch chłopców. Wielkie wrażenie wywołała w Krakowie wiadomość o wykryciu potwornej zbrodni, popełnionej rzekomo przez macochę na swych pasierbach. Mianowicie druga żona oficjała pocztowego w Krakowie, Pawła Lubartowskiego, zajęta jako laborantka w szpitalu epidemicznym, znajduje się w podejrzeniu, że otruła dwóch swoich pasierbów, 9-letniego i 16-letniego, którzy zmarli. Trzeci pasierb leży w szpitalu. Istnieje podejrzenie, że wszyscy zostali zatruci bakterjami chorobowemi, dwaj pierwsi bakcylami czerwonki, trzeci bakcylami tyfusu. Władze przeprowadzają w tej sprawie, która budzi ogólną sensację, szczegółowe dochodzenia. Tak twierdzą sąsiedzi i inni, ale czy rzeczywiście Lubartowska jest zbrodniarką trudno przesądzać. Możliwe, ze zarazki przyniosła do domu mimo swej woli, jak również jest możliwe, że chłopcy nabyli choroby skądinąd. Śledztwo zapewne sprawę wyjaśni i jeżeli macocha była winna ukarze ją, a jeżeli niewinna, władze stwierdzą to, aby cześć jej uratować.

Samobójstwo gimnazjalistki. W Nowym Targu popełniła samobójstwo 17-letnia uczenica gimnazjum, Marja Czajówna, strzelając do siebie z rewolweru. Powodem rozpaczliwego kroku była zawiedziona miłość do kolegi gimnazjalnego, który na Czajównę zupełnie nie zwracał uwagi.

Bratobójcza bójka. Filip Hanasek, rolnik z Poździacza (pow. Przemyśl) wywołał kłótnię z bratem swoim Stefanem, która niebawem przerodziła się w bójkę. Filip, czując się rzekomo zagrożonym, oderwał drąg od wozu i ugodził nim brata z całej siły w głowę. Cios okazał się tak groźnym, ze Stefan Hanasek natychmiast stracił przytomność, a przywieziony do szpitala przemyskiego, wkrótce zmarł. Zabójcę aresztowano i odstawiono do więzienia sądu okręgowego w Przemyślu.

Śmierć od pioruna. W czasie burzy, która przeszła nad okolicami Lwowa we wsi Wroców, uderzył piorun w chatę, powodując śmierć dwóch osób. Dom spłonął doszczętnie. Dwie kobiety, które schroniły się pod strzechę przed deszczem, wyszły bez szwanku.

Awantury poborowych. Niedaleko Żółkwi kilku pijanych poborowych napadło na autobus zdążający do Żółkwi. Pijacy otoczyli autobus i pod groźbą rewolwerów zmusili pasażerów do wyjścia z samochodu. Reszta poborowych obrzuciła samochód kamieniami, wybijając szyby i wyrządzając inne uszkodzenia. Wkrótce nadjechało drugie auto, na widok którego napastnicy rozbiegli się. Zawiadomione władze aresztowały 15 awanturników.

Usiłowane morderstwo rabunkowe. W kooperatywie w Drohowyżu odbyło się w niedzielę obliczenie stanu kasy i kontrola rachunków, która przeciągnęła się do godziny wpół do 12 w nocy. Po ukończeniu kontroli kasjer Iwan Zubelski, ukrywszy pieniądze w kamizelce i zabezpieczywszy kieszeń agrafką, udał się do domu, położonego blisko lasu. Gdy znajdował się już blisko domu, naraz z lasu wyskoczyło dwu drabów. Jeden potężnem uderzeniem zwalił Zubelskiego na ziemię, poczem obaj złapali go za gardło i poczęli dusić. Napadnięty z całych sił wzywał pomocy i bohatersko opierał się przemocy dwu rabusiów. Na szczęście sąsiad Michał Iłyk usłyszał krzyk i wybiegł na pomoc. To uratowało Zubelskiemu życie. Obawiając się ujęcia, rabusie pozostawili swoją ofiarę skrwawioną i uciekli. Dzięki oporowi kasjera ocalała gotówka w kwocie przeszło 2.000 zł. Policja wdrożyła energiczne dochodzenia celem ujęcia sprawców usiłowanego morderstwa rabunkowego.

Sensacyjny wypadek w Stanisławowie. Ze Stanisławowa donoszą o wypadku, który poruszył całe miasto i od kilku dni stanowi przedmiot powszechnych rozmów. Idzie tu o niecodzienny fakt, który zdarzył się w domu znanego w Stanisławowie adwokata Dra Gabrjela Bachera. Dr Bacher przed wojną zamożny adwokat w Stanisławowie przez kilkanaście lat bawił z rodziną w Wiedniu, a dopiero niedawno powrócił do swego rodzinnego miasta. Dawna zamożność i powodzenie znikły bezpowrotnie, już z Wiednia przybył Dr Bacher jako materjalnie zrujnowany, a mimo, że otworzył z powrotem kancelarję w Stanisławowie, sytuacja materjalna wcale się nie poprawiła, gdyż z powodu wieloletniej nieobecności stracił całkowicie dawną kljentelę, zaś nowej nie potrafił zdobyć. Kłopoty materjalne sprawiły, że Dr Bacher począł chorować na pewnego rodzaju rozstrój nerwowy, który uniemożliwiał mu spanie. By zaradzić bezsenności, Dr Bacher począł zażywać weronalu. Gdy przed kilku dniami zażył większą dawkę, zapadł w ciężki sen. Początkowo nie zwrócono na to specjalnej uwagi, dopiero gdy w tym stanie spadł z kanapy i w dalszym ciągu spał, domownicy zaniepokoili się. W tym momencie Dr Bacher na chwilę przebudził się, ale potem znowu zasnął i już tak śpi przez szereg dni. Obecnie wkroczyli już lekarze i zajęli się tym wypadkiem, stwierdziwszy, że przyczyną stanu Dra Bachera jest zażycie więsszej dawki weronalu.

Bestjalski wybryk uliczników. Około godziny 2 w nocy obudziły dozorczynię jednego z domów przy ul. Lubeckiego w Warszawie głośne krzyki. Ktoś w niebogłosy wołał: „Palę się! O Jezu, palę się!" Przerażona dozorczyni wyjrzała przez okno na ulicę i zobaczyła jakiegoś mężczyznę w płonącem ubraniu. Na ratunek „żywej pochodni" pospieszyli przechodnie i dozorca nocny. Policjant przewiózł ofiarę wypadku do ambulatorjum pogotowia, gdzie okazało się, że jest to 36 letni Feliks Andrzejewski, bez pracy. Po udzieleniu pomocy, Andrzejewskiego w stanie ciężkim przewiozło pogotowie do szpitala. Śledztwo wykazało, że Andrzejewski padł ofiarą niecnych figlów uliczników. Andrzejewski był pijany i położywszy się pod murem domu, natychmiast zasnął. Gromadce przechodzących właśnie tamtędy uliczników przyszedł na myśl prawdziwie szatański pomysł Śpiącego więc na ziemi robotnika oblali naftą i podpalili na nim ubranie. Nieletni zbrodniarze zdołali zbiec. Policja nie ujęła żadnego.

Żmije w Warszawie. Z Warszawy donoszą, że w Ogrodzie Saskim, w samem śródmieściu Warszawy, gnieżdżą się żmije, których ukąszenie jest śmiertelne. Obecność ich wyszła na jaw dzięki wypadkowi, który tylko dzięki szybkiej pomocy lekarskiej nie pociągnął za sobą katastrofy. W poniedziałek rano przechodził przez Ogród Saski pewien kapitan. Oficer spostrzegł na alei kilkoro dzieci, rozdeptujących jakiegoś gada. Nie przypuszczając, że jest to żmija, lecz sądząc, że jest to nieszkodliwy zaskroniec, wziął gada w rękę, chcąc go odrzucić na trawnik. Trzymając go w ręku, przekonał się dopiero, że jest to żmija. Zanim zdążył wypuścić żmiję z ręki, ukąsiła go ona. W chwilę potem ręka zsiniała i opuchła. Kapitan udał się natychmiast do Zakładu hygjeny, gdzie zastrzyknięto mu odtrutkę. Pomimo to ręka przez dwa dni była bezwładna.

Zjawa zaginionej córki. Z Wilna donoszą: Jesienią ubiegłego roku zginęła w tajemniczych okolicznościach Stanisława Sudenisówna ze wsi Numenczyk. Nikt nie wiedział dokładnie, co się stało z dziewczyną. Przypuszczano wszakże, iż musiała wyjechać z jakimś kawalerem do Wilna, albo i dalej. Dopiero obecnie matka dziewczyny poczęła miewać sny zgoła niezwykłe. Śniła jej się córka, zjawiająca się cała w bieli i skarżąca się matce, że jest zamordowana i pochowana w polu pod stertą kamieni. Pierwszy raz Sudenisowa nie przykładała żadnej wagi do sennych zjaw. Sen jednak powtórzył się trzykrotnie. Córka brała matkę za rękę i przez pola, pokryte świeżą runią, prowadziła do swej mogiły. Sudenisowie zawiadomili wreszcie o tem policję. Niewielki orszak ruszył przez pole i dotarł istotnie do sterty kamieni. Po jej rozkopaniu ukazały się zwłoki, będące już w stanie silnego rozkładu. Po dokładnem zbadaniu ustalono, że są to zwłoki zaginionej Stanisławy. Były one pochowane na polu niejakiego Stanisława Olszewskiego narzeczonego Sudonisówny. Olszewski zamordował dziewczynę i zakopał w polu. Zbrodniarza osadzono w więzieniu.

Pobicie posłów białoruskich. W miejscowości Iwie (koło Lidy) posłowie białoruscy Gawryluk i Dworczanin obrzuceni zostali na wiecu zepsutemi jajami i kamieniami. Interwencja policji uchroniła posłów od ciężkiego poturbowania.

Wilki. W powiecie zdołbunowskim pojawiły się wilki i rozszarpały we wsi Stopia dwa konie, pasące się na łące.

Burza i grad. Teren gminy Doroskiej w powiecie baranowickim został w ubiegły poniedziałek nawiedzony straszną klęską żywiołów. Około 6 wieczorem niebo pokryło się ciemnemi chmurami i rozszalała się burza, w czasie której spadł grad wielkości kurzych jaj. Zasiewy zostały zniszczone. Uległy również zupełnemu zniszczeniu sady owocowe. Poczem nastąpiło oberwanie się chmury i straszna ulewa. Wody na polach sięgały po pas. Najsilniej ucierpiały majątki Florjanów, Korzeniówka i Teofile oraz wsie Kowale, Kręgle, Prączaki, Pszki, Nowosiółki i Podlesie. Niezależnie od powyższej katastrofy donoszą, że burza połączona z gradobiciem przeszła również nad powiatem stołpeckim, gdzie również wyrządziła poważne szkody. Burza przeszła także nad powiatem nowogródzkim, nie wyrządzając na szczęście żadnych szkód.

Zemsta cyganów. W powiecie stopnickim we wsi Oleśnica cyganie podpalili gospodarstwo wiejskie z zemsty za pobicie jednego z cyganów. W innej wsi cyganie z zemsty podpalili zabudowania jednego z gospodarzy, a ogień zniszczył 11 zabudowań. Straty wynoszą 100.000 zł.

40 bandytów przed sądem. Przed sądem okręgowym w Chojnicach rozpoczął się sensacyjny proces. Na ławie oskarżonych zasiadło 40 bandytów ze słynnym hersztem Gromowskim, oskarżonych o popełnienie 105 kradzieży z włamaniem, napadów rabunkowych, rozbojów i t. d. Banda ta niepokoiła całą okolicę od trzech lat i dzięki sprężystości policji została wytropiona.

Okradzenie urzędniczki. Onegdaj urzędniczka pewnej firmy budowlanej w Królewskiej Hucie udała się do Banku Śląskiego celem podjęcia 5.000 zł. W chwili, gdy opuszczała lokal banku, dwaj porządnie ubrani mężczyźni zbliżyli się do niej, prosząc uprzejmie o zmianę 100-złotowego banknotu, a to pod pozorem, że nie mają czasu czekać w kolejce przy okienku kasowem. Urzędniczka spełniła prośbę nieznajomych, lecz dopiero w chwilę potem spostrzegła brak 5.000 złotych. Zawiadomiona policja wszczęła poszukiwania, które dotychczas pozostały bez rezultatu.

Kradzież na pogrzebie. Z Katowic donoszą, że podczas pogrzebu ks. biskupa Lisieckiego skradziono dyrektorowi Nosowiczowi 369 zł., a sędziemu Linkowi 440 zł. i dokumenty osobiste.

Śmierć od dzióba koguta. W miejscowości Parnów na Śląsku Opolskim, w domu gospodarza Cara, wydarzył się niezwykły wypadek. Córka jego 15-letnia Emilja, zajmująca się z zamiłowaniem hodowlą drobiu, dziobnięta została onegdaj przez koguta w nogę. Na skutek tego nastąpiło zakażenie krwi i Emilja Carówna zmarła.

Ofiary szczepienia. W Lubece, w Niemczech, zaszedł straszny wypadek, ofiarą którego padło 18 dzieci a 36 walczy ze śmiercią. Śmierć i choroby dzieciarni nastąpiły po zaszczepieniu ich szczepionką prof. Calmetla. Lekarze badają skład owej szczepionki, a władze zajęły się wyśledzeniem, co było powodem tego nieszczęśliwego wypadku.

Dalsze zapadanie się ziemi. Miasteczko Vienenburg u podnóża gór Harcu, znane z podziemnej katastrofy, zostało ponownie nawiedzone kataklizmem. W pobliżu gościńca prowadzącego do Osterwick zapadł się nagle łan żyta na 20 metrów w głąb ziemi w promieniu 30 metrów. Z kolei usunął się z ziemi na głębokość 8 metrów ogródek w obrębie cukrowni. Ściany hali maszynowej cukrowni oddalone o 50 metrów od miejsca katastrofy, zarysowały się niebezpiecznie. Woda zalewająca szyb kopalni soli potasowych dosięga obecnie do 75 metrów ponad poziom najniżej położonej sztolni. Okazuje się, że mimo 10-dniowej przerwy ruch podziemny nie uspokoił się. Na gościńcach i torze kolejowym pojawiają się nowe szczeliny i leje.

Warjacki zakład. W austrjackiej miejscowości Pfaffstatten niejaki Józef Riebenbauer, człowiek 21-letni podpiwszy sobie nieco w wesołem towarzystwie, pod wpływem pijackiej fantazji założył się o cztery litry piwa, że połknie 10 otwartych agrafek. Riebenbauer kazał przynieść agrafki i szaleństwo pijackie posunął do tego stopnia, że połknął nie 10, lecz 16 agrafek. Zaledwie ukończył ten warjacki eksperyment, dostał natychmiast straszliwych boleści i padł na ziemię. Przewieziono go natychmiast do szpitala, gdzie dokonano operacji. Niestety, nie udało się uratować życia młodzieńca, ponieważ ostrza agrafek przebiły ściany żołądka i jelit.

Niezwykła wytrzymałość. Młoda para Wiedeńczyków, Eliza Wymazal i Leopold Dobrowolny, pomocnik tapicerski, rzucili się z powodu nieszczęśliwej miłości w nurty rzeki Rax. Najpierw znaleziono zwłoki dziewczyny, w dwa dni potem ciało młodego człowieka, który nie dawał początkowo żadnych znaków życia. Ale badanie lekarskie dało sensacyjny wynik: Dobro-

wolny żył jeszcze. Od czasu dramatu miłosnego upłynęło ośm dni. Dobrowolny, który doznał załamania czaszki i innych ciężkich obrażeń i wystawiony był na zimno i głód przez cały tydzień, żył przez cały ten długi czas. W dziedzinie praktyki lekarskiej jest to wyjątkowy wypadek. Wkrótce po znalezieniu jego ciała i ekspertyzie lekarskiej Dobrowolny umarł. Jak stwierdzono jednak, nie umarł on z powodu ran, ale z wyczerpania. Był zupełnie wygłodzony.

Jarmark na dziewczęta. Niewielka mieścina w Siedmiogrodzie, daleko w kraju tym słynie ze swych „jarmarków na dziewczęta", które się odbywały w lipcu każdego roku. W oznaczonym dniu dążyły do Gajny tłumy młodzieży obojga płci z najdalszych okolic Siedmiogrodu, a więc dziewczęta pragnące wyjść za mąż i chłopcy marzący o ożenku. Na jarmarku w Gajnie następowało poznanie i wybór miłego czy miłej. Gdy chłopiec i dziewczyna spodobali się sobie nawzajem, wówczas za pośrednictwem rodziców obojga „dobijano targu" i następowały zaręczyny, a następnie ślub.



„Jarmarki na dziewczęta" w Gajnie miały tę dobrą stronę, że parobczak lub dziewczyna danej wioski nie byli zmuszeni obierać sobie towarzysza życia koniecznie w sąsiedztwie czy najbliższej okolicy. Dzisiaj jarmarki w Gajnie utraciły swe dawne znaczenie i świetność. Młode pary w Siedmiogrodze łączą się bez ich pośrednictwa. Cztery nasze obrazki przedstawiają, jak te jarmarki wyglądały. Na pierwszym obrazku widzimy dziewczęta grające na trombitach, na drugim sprzedaż kos. Obrazek trzeci przedstawia nam zabawę i ochocze tańce młodzieży siedmiogrodzkiej, a na czwartym widzimy młodą dziewczynę siedmiogrodzką, sprzedającą swego konia.

Powódź w Rumunji. Z Bukaresztu donoszą: Wskutek wielkich deszczów, które spadły w ostatnich dniach, donoszą ze wszystkich okolic kraju o wielkich powodziach. Najgroźniej przedstawia się sytuacja na Bukowinie, oraz w północnych okręgach Mołdawji, gdzie drogi oraz liczne mosty uległy zniszczeniu, a tory kolejowe w kilku miejscach zostały przerwane, powodując wstrzymanie komunikacji. W miastach: Piatra, Neantu, Bacau i Roman w północnej Mołdawji całe dzielnice zostały zalane, a setki domów znalazły się pod wodą. Powódź ta nie ominęła niektórych powiatów Małopolski Wschodniej, większych szkód jednak nie wyrządziła.

Watykan a Ziemia święta. Prasa włoska, zbliżona do Watykanu, podjęła w ostatnich dniach energiczną kampanję na rzecz wyodrębnienia Jerozolimy, Betleemu i miejsc świętych w Palestynie z pod mandatu brytyjskiego i przekazania ich zarządowi Watykanu, któremu po podpisaniu umowy laterańskiej, przysługują wszelkie prawa państwa suwerennego. Licząc się z tem, iż projekt ten może napotkać sprzeciw ze strony kościołów innych wyznań, katolicka prasa w Rzymie proponuje ogłoszenie Ziemi świętej jako „strefę międzynarodową, nad którą sprawowałyby zwierzchni nadzór konsulaty cudzoziemskich państw, reprezentowanych w Palestynie. W tym celu miałby być utworzony specjalny „korpus konsularny" i „zarząd Ziem świętych", do którego weszliby również delegaci wszystkich kościołów. Narazie w sprawie tego projektu sfery watykańskie nie zabierają głosu, istnieje jednak możliwość, iż pierwszym krokiem Watykanu po zgłoszeniu swego akcesu do Ligi Narodów, będzie zgłoszenie planu wyodrębnienia Ziemi świętej i ustanowienia nowych form zarządu w Palestynie.

Runięcie wieży. Ze Smyrny donoszą dzienniki wiedeńskie, że na polach opiumowych około Smyrny, zawaliła się wieża, pochodząca z czasów rzymskich. Wieża runęła w chwili, gdy u jej stóp kobiety spożywały posiłek. 18 kobiet zostało zabitych, 8 zaś ciężko ranionych.

Katastrofa na lotnisku. Podczas uroczystego otwarcia lotniska w Guadalajara w zachodnim Meksyku, zdarzyła się straszna katastrofa. Auto osobowe najechało na filar trybuny, gdzie siedziało przeszło 3 000 osób. Trybuna zawaliła się, grzebiąc pod belkami i deskami znajdujących się tam widzów. Sześć osób straciło życie. Liczba ciężko rannych wynosi 36 osób. Bardzo wielu jest kontuzjonowanych. Z pod gruzów wydobyć musiano 2.000 osób.

Mąż jako główna wygrana. W Ameryce, podobnie zresztą, jak w Europie, kobiety co do liczebności mają znaczną przewagę nad mężczyznami. Szczególnie źle pod tym względem przedstawiają się stosunki w mieście Lottown w stanie Georgia; tam bowiem na jednego mężczyznę przypadają aż trzy kobiety. Umiał wyzyskać tę „konjunkturę" pewien tamtejszy kawaler i wpadł na pomysł oryginalnej loterji. Oto urządził loterję, której wygraną miał być... mąż. Udział w loterji mogła wziąć każda kobieta: młoda i stara piękna i brzydka, jeśli tylko kupiła los za 10 dolarów. Loterja owego sprycjarza miała kolosalne powodzenie tembardziej, że prócz męża miała owa szczęśliwa dama otrzymać posag w wysokości 60 tysięcy dolarów. Kilkadziesiąt tysięcy kobiet wzięło udział w tej imprezie. Wygrana padła na 19 letnią Barbarę Shate. Młodzieniec, który zgodził się za odpowiednem wynagrodzeniem na odegranie roli owej żywej premji loteryjnej, miał jednak szczęście: dostała mu się żona młoda, piękna i sympatyczna. A przecież los mógłby mu wypłatać fatalnego figla!

Skok 20 ludzi z 500 metrów. Oczywiście ze spadochronem i z samolotu, oczywiście w Ameryce dokonano tego nowego zbiorowego przedsięwzięcia. Mianowicie z olbrzymiego samolotu zeskakiwało jeden po drugim 20 śmiałków i lądowało w najbardziej przepisowy sposób. Rekord ten, któremu przypatrywało się 10.000 osób pobił podobny rekord zeszłoroczny, kiedy to skoku w tych samych warunkach dokonało razem 16 lotników.

Pierwsza krowa w samolocie. Z Chicago donoszą, że w tych dniach pierwsza krowa została wydojona na aeroplanie podczas lotu. Aparat, na którym się to stało, leciał z szybkością 135 klm. na godzinę na wysokości 5.000 stóp nad miastem St. Louis, a wydojone mleko zrzucono w 25 papierowych butelkach. Na każdej butelce był adres, pod którym ją przesłano dalej. Krowa podobno zachowywała się podczas lotu bardzo poważnie. Leciała ona w towarzystwie operatora filmowego i dziennikarza. Towarzystwo to, jak również i pilot raczyli się mlekiem „prosto od krowy" na wysokości 5.000 stóp. Niebawem pewno będziemy mieli fruwające obory!

RZECZY CIEKAWE.

Jak powstały straże ogniowe?

W głębokiem średniowieczu wszelkie zabiegi ratunkowe podczas pożaru były pozostawione dobrej woli i uczynności sąsiadów, wylewających gorliwie wodę z kubełków na płonące mienie współobywateli. Małe sikawki ręczne, jako środek ratowniczy, zjawiły się dopiero w 15 stuleciu i pierwszem miastem, które taką sikawkę posiadało, był Frankfurt nad Menem. Po nim dopiero inne wielkie miasta zaprowadziły tę pożyteczną inowację. Pierwszą dużą, jakkolwiek mało sprawną sikawką, może pochwalić się Norymbergja. Pewien kowal, mieszkanie miasta zbudował sikawkę, która „doskonale wyrzucała wodę na 50 i 100 stóp i takowy ogień świetnie gasiła".

Po pewnym czasie duże sikawki, wymagające dla swej obsługi kilku ludzi, znalazły szerokie zastosowanie w Europie.

Jednocześnie w miastach zjawiają się prawa miejscowe, ustanawiające obowiązek gaszenia pożaru przez pewnych obywateli. Do takich należeli cieśle, ślusarze i kominiarze. Później obowiązek ten został rozciągnięty na wszystkie cechy rzemieślnicze, a w w. 19-tym pociągnięto do tej powinności i inne kategorje mieszkańców miast, kładąc w ten sposób podwaliny, pod instytucję straży ogniowej.

Ukąszenie żmiji.

Główny urząd zdrowia Rzeszy niemieckiej stwierdził, że surowica przeciw ukąszeniom żmiji wyrabiana w Instytucie Pasteura w Paryżu, działa znakomicie. Dlatego też urząd powyższy zaleca zastrzyki surowicy obok innych sposobów ratowania ogólnie przyjętych.

Niebezpieczeństwo ukąszenia żmiji jest zwykle przesadzone, gdyż w latach 1921—1925 na 150 wypadków ukąszenia żmiji, notowano w Prusach tylko 1 wypadek śmiertelny.

Największe niebezpieczeństwo przedstawia ukąszenie żmiji dla dzieci, zwłaszcza jeśli miejsce ukąszenia leży nie na kończynach, lecz na twarzy lub tułowiu.

Manna biblijna.

Do tej pory istniały różne mniemania co do natury i pochodzenia manny, która padała jako pożywienie z nieba dla Żydów podczas ich ucieczki z Egiptu. Jedni uważali ją za porosty pustynne, inni za wydzielinę roślin.

Dla rozwiązania owego problemu wysłał hebrajski uniwersytet w Jerozolimie w roku 1927 małą ekspedycję na półwysep Synaj. Kierownicy jej, dr Bodenheimer i dr Theodor, stwierdzili, że występowanie manny przedstawia się jako to, co w innych krajach znają pod nazwą „rosy miodnej" (Honigtau), która jest słodką wydzieliną owadów, a mianowicie pluskwiaków z rodziny Coccidaeet.

Badacze obserwowali wydzielinę owadów w kształcie kropel jasnego, słodkiego płynu i wykazali, że ów płyn pochodzi ze strawienia roślin przez Coccidaee.

Suchy klimat pustyni synajskiej pozwala stwardnąć syropowatym wydzielinom w kryształki, a powstałe z nich ziarna, pokrywające gałęzie, są właśnie manną.

Miesiąc urody.

W Chicago odbyło się doroczne zebranie ekspertów piękności kobiecej, właścicieli „salonów piękności". Wszyscy obecni na zebraniu doszli do jednomyślnej konkluzji, że każda kobieta w całym roku najpiękniejszą jest w miesiącu czerwcu, a najbrzydszą w miesiącu marcu.

Na prawdziwość tej konkluzji wskazują fakty, że nikt nigdy nie słyszał o marcowych pięknościach, albo o jakimś romansie marcowym. Od marcowych wiatrów i marcowego słońca skóra kobiety wysycha, oczy jej tracą blaski.

Natomiast warunki atmosferyczne czerwca są zawsze najidealniejsze dla płci pięknej! Toteż w miesiącu tym rozkwitają one w całym swym blasku, hojną dłonią rozsiewając skarby swej piękności. W czerwcu każda płomienna miłość dochodzi do zenitu. W następnych miesiącach, zdaniem chicagowskich ekspertów piękności, kobieta żyje tylko echem stworzonych w czerwcu symfonij szczęścia.

Chwała Bogu, że marzec minął — powie zapewne niejedna z naszych Czytelniczek — i będzie z niecierpliwością czekała czerwca.

„Prawo" zabijania dziewczynek.

Chińskie miasto Tai-Yanfu było do niedawna jeszcze widowiskiem niezwykłego okrucieństwa. Oto dziewczynki w pewnym ustalonym procencie, bywały tam zaraz po urodzeniu masowo zabijane, jako stworzenia nietylko niepotrzebne nikomu, ale wręcz szkodliwe, bo zabierające miejsce chłopcom, przyszłym królom stworzenia. Wiadomo „chiński głód" nie bez powodu wszedł w przysłowie.

Obecnie zrozumieli jednak przemyślni mężczyźni tamtejsi, że kręcili bicz tylko na siebie. Bowiem stali się oni w owem chińskiem mieście Tai-Yuanfu płcią zgoła podrzędną. Trudno, prawo „pobytu i podaży" rządzi światem nieodwołalnie. 60-ciu mężczyzn przypada tam obecnie na jedną kobietę.

Rodzice zatem podwyższyli ceny za swe córki i strzegą ich niebywale, jako źródła dochodu. Posagi wyszły z mody — a „antifeminiści" chodzą smutni, bo nie mają sobie za co żony kupić. Zatem prefekt prowincji Lo-An-Fu wydał zakaz zabijania dziewczynek. Zrozumiał może wielką prawdę, że przyroda sama reguluje tego rodzaju sprawy i nie potrzebuje interwencji...

Pająki i pluskwy.

Plaga pluskiew jest na Bałkanach tak przykra, że ludzie, mający nocować w oberżach, wolą spać na polu niż spędzić noc w łóżku, mając za towarzystwo to krwiożercze robactwo. Wszelkie wysiłki zniszczenia tego robactwa nie prowadziły do rezultatów pożądanych, dopiero teraz przyroda sama pokazała drogę, na której udaje się robactwo to wytępić. Donoszą mianowicie z Aten, że plaga pluskiew jaka się srożyła w barakach założonych dla uciekinierów z Turcji nagle znacznie osłabła. Przyczyną tego okazało się pojawienie się pewnego gatunku pająków (Thanatus flavidus Simon), które wprawdzie zjadają także i muchy, lecz przedewszystkiem karmią się pluskwami. Poczęto te pająki badać laboratoryjnie i stwierdzono, że zjadają one dziennie 30—40 pluskiew. Żarłoczność tych szarych pająków, mających długości 1 i pół cm. zawdzięczają ateńskie baraki zwalczanie plagi pluskiew. Pająki te są obecnie starannie pielęgnowane i przypuszcza się, że

dzięki nim uda się Bałkan uwolnić od plagi robactwa.

Śmiertelność wśród murzynów.

Ludność murzyńska w Chicago stanowi już przeszło 5 proc. mieszkańców. Nie było jej tak dużo przed wojną. Dopiero w czasie wojny i po wojnie zaczęli murzyni masowo przybywać z południa do Chicago i dzisiaj jest już w obrębie miasta przeszło 160 tys. murzynów.

Jest to dopiero początek emigracji murzyńskiej, gdyż każdy rok wyrzuca coraz większe fale czarnej ludności na bruk chicagowski.

Wskutek tego napływu zmienia się rasowe oblicze miasta, wzmaga się w nim zbrodniczość, a co najważniejsze, w zastraszający sposób jest już zagrożona zdrowotność Chicago.

W roku 1925 Chicago miało najniższą z miast świata liczbę śmiertelności, wynosiła ona bowiem 11.5 procent na tysiąc mieszkańców. Tymczasem śmiertelność murzynów w Chicago tego samego roku wynosiła 22.5 proc., czyli ilość, jaką przewyższają tylko najniezdrowsze na świecie miasta, jak Bombay i Kalkuta w Indjach. Dzieci murzyńskich umiera 118 na tysiąc. Starsi natomiast wnoszą ze sobą różne zaraźliwe choroby.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Marjan Pochyła** w T.: Wiadomość do kroniki przyszła zbyt późno. Trudno drukować w numerze czerwcowym o tem, co się stało w dniu 3 maja. — **Andrzej Szarek** w S.: Tak, na odległość nie da się nic poradzić; zresztą uczynić to może jedynie lekarz. Najlepiej przyjechać do Krakowa rano i udać się do szpitala św. Łazarza. Tam lekarz zbada bezpłatnie, a jeżeli uzna, że potrzebna operacja, to zostawi Pana na parę dni w szpitalu, jeżeli zaś pomogą jakieś okłady, to je przepisze. Rzeczy takiej zaniedbywać nie można, a co już najgorsze, to nie trzeba słuchać rad żadnych znachorów. Zdaniem naszem lekarz-specjalista, jakich w Krakowie nie brak, dolegliwość usunie. — **Jan Smaza** w Z.: Jeżeli nowy prenumerator przysyła całoroczną lub półroczną prenumeratę, to otrzymuje wszystkie zaległe numera od Nowego Roku po cenie prenumeracyjnej, a nie po 30 groszy. Po 30 groszy płacą tylko ci, którzy nabywają pojedyncze numera. Zagadki zamieścimy. — **Józef Serafin** w M.: „Obmowę“ zamieścimy; drugi utwór, jako zbyt osobisty, nie nadaje się do druku. — **Piotr Wenc** w S.: A możeby nam Pan przesłał coś o sprawach gospodarczych? — **Władysław Wicherek** w B.: Zagadki przeznaczamy do druku. — **Stanisław Łętowski** w C.: Zagadki zamieścimy, wiersza zaś nie, gdyż po pierwsze jest on zadługi dla „Roli“, a powtóre choć posiada rymy dobre i treść ciekawą, to przecież zamało w nim poezji. — **B. Herman** w S.: „Starego bacę“ w miarę miejsca zamieścimy. — **A. D.** w D.: Wymienione książki można dostać w każdej księgarni n. p. J. Czerneckiego, Kraków, Rynek, lub A. Krzyżanowskiego, Kraków, Rynek. — **Perucki W.** z R.: Rolę bratu do Turki posyłamy. — **Jan Dziedzic** z M.: Pytaliśmy się w księgarniach, ale odpowiadali „wyczerpane“. — **Józef Kapuściński** w L.: Czy dla p. Kawy do Francji „Rolę“ w dalszym ciągu posyłać?

UNIEWAŻNIAM zaginioną książeczkę wojskową na nazwisko Józef Rusin, rocznik 1894, szeregowiec 12 p. p., wydaną przez P. K. U. Nowy Targ.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył M. Blum z W.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Część karabinu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Figura geometryczna.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Zasada chemicz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Roślina.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Doktor Kościoła

Początkowe litery czytane z góry na dół utworzą nazwę słynnego miasteczka w Polsce.

2. Szarada.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W).

I.

Pierwsze drugie polska rzeka,
Na drugie trzecie narzeka
Ten, co figle lubi płatać
Pierwsze trzecie — idź i zapłać!
Gdy wchodzisz do domu — pukaj!
Całość: na mundurach szukaj!

II.

Spotkawszy pierwsze drugie trzeciego
Takto odezwałem się do niego:
„Drugie! to część trzeciego i czwarte.
Bo tam widziałem już drzwi otwarte.
Słuchaj! ujrzysz czwarte, trzecie skoki
(Z pana trzecie będziesz zrywał boki).
Gdy będziesz wracał — przynieś z apteki
Całość, a pieniądze weź z mej teki!

III.

(Ułożył Józef Rodak z T.).

Na piewsze drugie nieraz małe dzieci za-
[sługują,
Jeżeli się wobec rodziców niegrzecznie
[zachowują.
Czwarte i piąte rzadko teraz spotykane,
A nawet niektórym zupełnie nieznane.
Wiecie, że za występki trzeci pół czwarty
[wymierza kary,
Który też w karaniu nigdy nie ma miary.
Całość często w gazetach ciekawie oglądacie
A nieraz w domu z przyjemnością rysujecie.

3. Kryptogram.

(Ułożył M. Blum z W.).

. ó . i . ., . e . . . a . . a . i . . ia ,
. . e . o . . a . a . ą . a . . a: . o . o u
. y . u . i . a, . ie y . ię . . . e . . ą a . !!

Zamiast kropek wstawić spółgłoski a otrzymacie znaną fraszkę poety 16 wieku.

4. Krzyż magiczny.

Ułożył W. Zieliński z S.).

		A	A	A		
		A	B	B		
E	E	F	K	K	L	L
M	M	N	N	O	O	O
O	R	R	R	R	S	S
		T	T	Y		
		Y	Ż	Ż		

Z liter powyżej podanych ułożyć krzyż, któregoby ramiona, poprzeczne i podłużne dały trzy imiona męskie.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 6-go czerwca b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 20 „Roli“: 1. Logogryf: Chata za wsią. 2. Szarada: Racica. 3. Drobne szarady: I. Belka-kabel. II. Karol-rolka. 4. Układanki: Celina. Kosma. Natalja. Artur. 5. Kwadrat magiczny: Ewers-worek-Erato-retur-skory. 6. Rekonstrukcja: Blok-lama-Omar-kark.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Józef Topolski z P., Marja Szafrańska z G., Piotr Wenc z Ś., Stanisław Łętowski z C., Gustaw Saroma z R., Franciszek Węgiel z D., Henryk Bilka Głębicki z S., Jan Gara z W., Radło z K. H., Karol Znański z W., Jan Smaza z Z., Józef Fornal z Cz. (wierszem).

Nagrody wylosowali pp.: Józef Topolski z B. i Karol Znański z W.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Poradził sobie.

— Gdybyś się, pijaku jeden zobaczył w lustrze, umarłbyś z przerażenia.

— To też ja, żoneczko kochana, lustro wczoraj zastawiłem: nic ze mną nie poradzisz.

Uprzejmy dłużnik.

— Ja nie mogę przecież przychodzić do pana codziennie i upominać się o te kilka złotych!

— Rozumie się. Niech pan przychodzi tylko co czwartek.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 17 maja b. r.

Pszenica	39·00—39·50	Słoma długa	5·50—6·00
Żyto	17·50—18·00	Ziemniaki stoł.	5·50—6·00
Owies	17·50—18·00	Koniczyna nasienn. czer.	200·00—230·00
Jęczmień	18·00—18·50		
Fasola biała	60·00—65·00	Mąka żytnia	34·50—35·00
Groch zwyk.	32·00—33·00	Mąka pszen.	69·00—70·00
Siano słodk.	8·00—8·50	Otręby pszen.	14·00—14·50
Łubin żóły	00·00—00·00	Otręby żytnie	13·00—14·00
Koniczpastew.	11·00—12·00	Mąka czerw.	18·00—18·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 17 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 0·95 do 1·45 zł.	Jałownik	od 0·73 do 1·50 zł.
Woły	od 1·10 do 1·50 zł.	Cielęta	od 1·10 do 2·06 zł.
Krowy	od 0·80 do 1·40 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizne	1·90 do 2·50 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 2·80 do 3.20

BLEDNICĘ

BRAK KRWI USUWA

Mra KRZYSZTOFORSKIEGO

WINO CHINOWO-ŻELAZISTE z Orłem

na maladze hiszpańskiej

reguluje słabości kobiece, dodaje siły, podnieca apetyt, **przyczynia krwi, położnicom zadziwiająco szybko przywraca siły,** a specjalnie polecane przez lekarzy w chorobach płucnych, po przebytych ciężkich chorobach, przy osłabieniu ogólnem, oberwaniu, braku ochoty do życia, nudnościach, zawrotach głowy, wyczerpaniu fizycznem i umysłowem. Do nabycia w aptekach i drogerjach, gdzie niema, zamawiać wprost z fabryki we własnym interesie, by ustrzec się przed podróbkami, — **żądać wyraźnie**

Mra KRZYSZTOFORSKIEGO

WINO CHINOWO-ŻELAZISTE z Orłem

Naśladownictwo energicznie odrzucić!

Ceny z opłaconą pocztą i opakowaniem są następujące:

2 fl. mniejsze zł. **6.—**	5 fl. mniejszych zł. **13.—**
1 fl. podwójny zł. **5.—**	5 fl. podwójnych zł. **22.—**

BALSAM KAPUCYŃSKI

z Orłem wyrobu Mra Krzysztoforskiego

podług przepisu O. Norberta z Pragi.

Najskuteczniejszy w bólach i kurczach żołądka, usuwa złe trawienie, pobudza apetyt, niezawodny w nudnościach, słabościach, wymiotach i omdleniach, nieoceniony środek w czasie podróży i pielgrzymek oraz w słabościach kobiecych.

Leczy zastarzałe rany, owrzodzenia, usuwa ból zębów, gardła, dziąseł, chroni zęby od zepsucia.

Jako niezbędny środek domowy winien być w każdym domu — w nagłych wypadkach oddaje nieocenioną przysługę. — Żądać wyraźnie Balsamu Kapucyńskiego z Orłem wyrobu Mra Krzysztoforskiego naśladownictwa energicznie odrzucać.

Każda prawdziwa butelka jest zaopatrzona plombą metalową z Orłem.

Ceny z opłaconą pocztą i opakowaniem są następujące:

2 fl. zł. **5.—**	10 fl. zł. **19.—**
5 fl. zł. **10.—**	20 fl. zł **35.—**

Reumatyzm

gościec, postrzał, ischias, łamania, nadwyrężenia, kłucia z powodu przeziębienia, ból głowy, zębów, katar, przeziębienia, bole żołądka, kurcze i t. p. usuwa

Pain Expeller z orłem

wyrobu Mra Krzysztoforskiego

Do nabycia w aptekach i drogerjach, gdzie niema zamawiać wprost z fabryki — we własnym interesie, by ustrzedz się przed **bezwartościowemi podróbkami** żądać wyraźnie Pain Expeller z Orłem wyrobu Mra Krzysztoforskiego — naśladownictwa energicznie odrzucać.

Ceny z opłaconą pocztą i pakowaniem są następujące: 2 flaszki zł. 4·50, 5 fl. zł. 9·50, 10 fl. zł 17·00, 20 fl. zł. 31·00

Fabryka chemiczna Mr. Krzysztoforski Tarnów, ul. Towarowa 8.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.

Sprzedaż częściowa i hurtowna.

Cenniki na żądanie.

Uwaga na dokładny adres.

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.



ZEGARKI

z amerykańskiego nowego złota

»Amer. d'OR« niczem się nic różni od prawdziwego złota 14 kar. tylko za zł. 8.75. Uwaga: Zegarki nasze nic nie mają wspólnego z zegarkami innych reklam. Wysyłamy pocztą za zaliczeniem elegancki zegarek. Chód dźwięczny na kamieniach, wyregulowany do minuty z gwarancją za dobry chód na 8 lat. 2 szt. 17 zł., 4 szt. 32.50, 6 szt. 47.50. Lepszego gatunku 11.50, 15, 18, 21, 25, 35 zł. Na rękę z paskiem niklowe 14, 17, 20, 25, 30, 35, 40, 50 i 57. — **Kryty Ankier z trzema kopertami amer. zł. 16.75,** 19, 22, 26, 30, 35, ręczne z paskiem lepszego gatunku 20, 25, 37, 45, 55, 65. Budziki stołowe 15, 17 i 20, lepszego gatunku 25, 30 i 40 zł. Łańcuszki z nowego złota po 2.15, 3, 3.75, 4.85 i 6 zł. Zegarki reklamowe kieszonkowe marki „Chronometr" niklowe po cenie 5.87, 2 szt. 11.60, 3 szt. 17.20, 5 szt. zł.28.50, 7 szt. 39.50, 10 szt. 55.85.

Za koszta przesyłki i opakowanie płaci kupujący.

FABRYCZNY SKŁAD GENEWSKICH ZEGARKÓW

JÓZEF JAKUBOWICZ, Warszawa, Sienna 27, Oddział 41.

Mnóstwo listów dziękczynnych.

Z powodu braku miejsca zamieszczamy niektóre.

Sz. P. Józef Jakubowicz

Niniejszem zamawiam zegarek z amer. złota. Jest to już trzeci zegarek. Z poprzednich jestem bardzo zadowolony. Teodor Bławat, kierownik szkoły Klonia.

Dobry zegarek kupisz tylko w znanej we wszystkich dzielnicach kraju firmie J. Jakubowicz, Warszawa 41.

Wyciąć! Zachować! Rekomendować!

Firma egzystuje od roku 1900. Nagrodzona wieloma złotemi medalami i krzyżami.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na „Rolę".